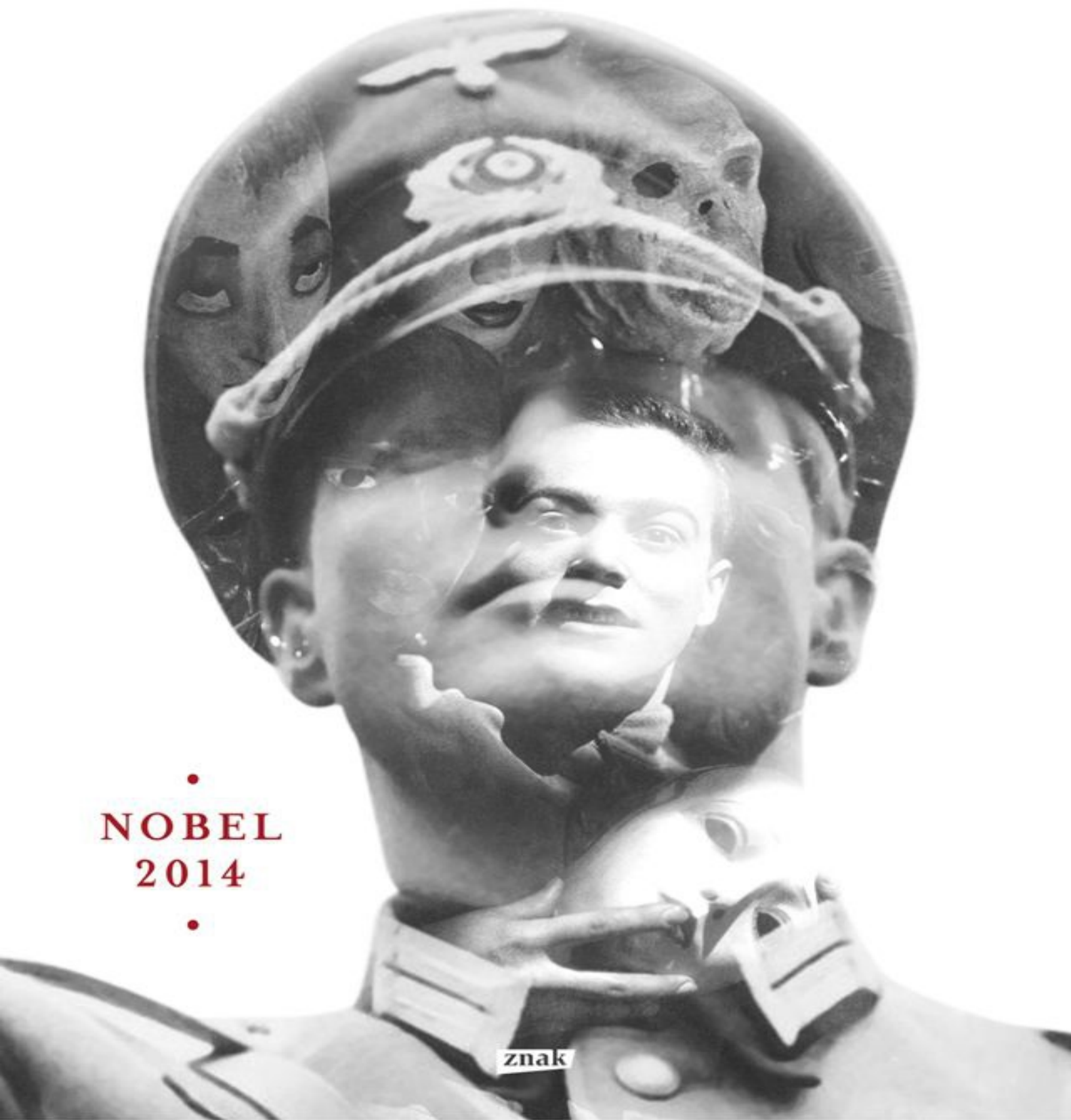


PATRICK MODIANO

• Nawroty nocy •

•
NOBEL
2014
•

znak



PATRICK MODIANO

• Nawroty nocy •

Przekład
Ewa Bekier

Wydawnictwo Znak
Kraków 2014

PATRICK MODIANO
laureat Nagrody Nobla w dziedzinie
literatury 2014

Patrick Modiano urodził się w 1945 roku w Boulogne-Billancourt. Studiował w Paryżu, ale nigdy nie uzyskał dyplomu. W 1968 opublikował swoją pierwszą powieść *La Place de l'Etoile*. W 1978 otrzymał Nagrodę Goncourtów za *Ulicę Ciemnych Sklepików*, zaś w 1996 został uhonorowany Grand Prix National des Lettres za całokształt twórczości. Jego książki przetłumaczono na ponad trzydzieści języków, choć przed otrzymaniem Nagrody Nobla był mało znany poza Francją.

Za powieść *Nawroty nocy* uhonorowano go dwiema ważnymi nagrodami literackimi: Grand Prix Félix-Fénéon oraz Plume de Diamant.

Modiano jest autorem nie tylko powieści, lecz także wywiadów, scenariuszy filmowych, między innymi *Lacombe, Lucien* wyreżyserowanego później przez Louis'a Malle'a, oraz tekstów wielu popularnych we Francji piosenek.

Główne tematy prozy Modiano to przede wszystkim rozliczenie z okresem dorastania, ciągłe poszukiwanie tożsamości oraz niemożność zrozumienia praw rządzących społeczeństwem. Jego pisarstwo jest mroczne, melancholijne, pełne niedopowiedzeń i tajemniczych historii z przeszłości, które przyciągają tak wielu czytelników.

Dziewiątego października 2014 roku Patrick Modiano otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za „kunszt pamiętania i dzieła, w których ukazał najbardziej nieuchwytnie ludzkie losy i odkrył świat czasu okupacji”.

Dla Rudy'ego Modiano

Dla mamy

P.M.

*Dlaczego utożsamiałem się z samymi przedmiotami mojego lęku
i współczucia?*

Scott Fitzgerald

Wybuchy śmiechu w środku nocy. Khédive uniósł głowę.

– A więc czekał pan na nas, grając w madżonga?

I rozrzuca na biurku białe kostki do gry.

– Sam? – pyta Monsieur Philibert.

– Oczekiwał nas pan od dawna, mój mały?

Głosy ich przybierają ton uroczysty, to znów przechodzą w szept. Monsieur Philibert uśmiecha się i robi nieokreślony ruch ręką. Khédive przechyla na lewy bok głowę i kuli się wyczerpany, policzkiem prawie dotykając ramienia. Taki ptak marabut.

Pośrodku salonu fortepian. Tapety i fioletowe kotary. Ogromne wazy pełne dalii i orchidei. Światło żyrandoli zamglone, jak bywa w złych snach.

– Trochę muzyki dla odprężenia? – podpowiada Monsieur Philibert.

– Łagodną muzykę, chcemy łagodnej muzyki – oznajmia Lionel de Zieff.

– *Zwischen heute und morgen?* – proponuje hrabia Baruzzi. – To slow-fox.

– Woląłabym tango – oświadcza Frau Sultana.

– Och, tak, tak, prosimy – błaga baronowa Lydia Stahl.

– *Du, Du gehst an mir vorbei* – szepcze zboląłym głosem Violette Morris.

– Nastaw *Zwischen heute und morgen* – rozstrzyga Khédive.

Kobiety są przesadnie uszminkowane. Mężczyźni w krzykliwych ubraniach. Lionel de Zieff ma na sobie pomarańczowy garnitur i koszulę w paski koloru ochry. Pols de Helder żółtą marynarkę i błękitne spodnie, hrabia Baruzzi popielatozielony smoking. Tworzy się kilka par. Costachesco tańczy z Jeanem-Faroukiem de Méthode, Gaétan de Lussatz z Odicharvim, Simone Bouquereau z Irène de Tranzé... Monsieur Philibert trzyma się na uboczu, oparty o parapet okna. Wzrusza ramionami, kiedy jeden z braci Chapochnikoff zaprasza go do tańca. Khédive, siedząc za biurkiem,

pogwizduje i wybija takt.

– Pan nie tańczy, mój mały? – pyta. – Niespokojny? Zapewniam pana, ma pan dla siebie mnóstwo czasu... Mnóstwo czasu dla siebie...

– Widzi pan – oświadcza Monsieur Philibert – policja ma dużo, dużo cierpliwości.

Podchodzi do konsolki i bierze leżącą tam książkę oprawioną w bladezielony safian: *Antologia zdrajców, od Alcybiadesa do kapitana Dreyfusa*. Przerzuca kartki i wszystko, co znajduje wetknięte między stronice – listy, telegramy, bilety wizytowe, zasuszone kwiaty – kładzie na biurku. Khédive robi wrażenie żywo zainteresowanego śledztwem.

– To pana ulubiona książka, mój mały?

Monsieur Philibert podaje mu fotografię. Khédive przygląda się jej długo. Monsieur Philibert staje za jego plecami. „Jego matka”, szepcze Khédive, wskazując na zdjęcie. „Nieprawda, mój chłopcze? Pani twoja Matka?” Powtarza: „Pani twoja Matka...”, i dwie łzy płyną mu po policzkach, kapią na wargi. Monsieur Philibert zdjął okulary. Oczy ma szeroko otwarte. On także płacze. W tej samej chwili wybuchają pierwsze dźwięki *Bei zärtlicher Musik*. To tango i oni nie mają dość miejsca, by się obracać swobodnie. Potrącają się, kilka osób potyka się nawet i ślizga na parkiecie. „Pan nie tańczy?, pyta baronowa Lydia Stahl. Chodźmy, niech pan ze mną zatańczy następną rumbę. – Niech go pani zostawi w spokoju – szepcze Khédive. – Ten młody człowiek nie ma ochoty tańczyć. – Tylko rumbę, jedną rumbę, błaga baronowa. – Rumba! rumba!”, wrzeszczy Violette Morris. W świetle dwu żyrandoli czerwienieją, napełniają się krwią, migocą kolorami przechodzącymi w ciemny fiolet. Pot spływa im kroplami po skroniach, oczy rozszerzają się nienaturalnie. Twarz Polska de Helderera czernieje, jakby się zwęglała. Policzki hrabiego Baruzziego zapadają się, sine obwódki pod oczami Rachida von Rosenheima nabrzmiewają. Lionel de Zieff przyciska rękę do serca. Wydaje się, jakby zupełne otępienie opanowało Costachesca i Odicharwiego. Makijaż kobiet kruszy się, ich koafiury mieniają się coraz gwałtowniejszymi odcieniami kolorów. Oni wszyscy są w stanie rozkładu i z pewnością od razu zaczną gnić. Czy już to czują?

– Mówiąc krótko a węzłowato, mój mały – szepcze Khédive – czy nawiązał pan

kontakt z osobą, którą nazywają „Księżniczka Lamballe”? Kto to taki? Gdzie jest teraz?

– Słyszysz? – powtarza cicho Monsieur Philibert. – Henri chce znać szczegóły o człowieku, którego nazywają „Księżniczka Lamballe”.

Płyta przestała się obracać. Towarzystwo rozkłada się na kanapach, pufach, fotelach. Méthode odkorkowuje butelkę koniaku. Bracia Chapochnikoff wychodzą z pokoju i wracają z tacami pełnymi szklanek. De Lussatz napełnia je po brzegi. „Pijmy, drodzy przyjaciele, proponuje Hayakawa. – Za zdrowie Khédive’a, wykrzykuje Costachesco. – Za zdrowie inspektora Philiberta, oznajmia Mickey de Voisins. – Toast dla Madame de Pompadour”, piszczy baronowa Lydia Stahl. Trącają się szklankami. Piją jednym haustem.

– Adres Lamballe’a – szepcze Khédive. – Bądź grzeczny, mój najmilszy. Daj nam adres Lamballe’a.

– Dobrze wiesz, że jesteśmy najmocniejsi, kochasiu – dodaje szeptem Monsieur Philibert.

Tamci naradzają się po cichu. Blask świeczników przygasa, jego odcień waha się między błękitem a ciemnym fioletem. Twarzy nie można już odróżnić. – Hotel Blitz staje się coraz bardziej natarczywy. – Niech się pan nie obawia. Dopóki ja tam jestem, będzie pan miał papier in blanco z podpisem z ambasady. – Jedno słowo hrabiego Grafkreuza, mój drogi, i Blitz przymknie na to w końcu oczy. – Będę interweniował u Ottona. – Jestem serdeczną przyjaciółką doktora Besta. Chce pan, żebym mu o tym powiedziała? – Telefon do Delfanne’a i wszystko się załatwi. – Trzeba być stanowczym z naszymi agentami, w przeciwnym razie zaraz to wykorzystają. – Bez pobłażania! – Tym bardziej że ich kryjemy. – Powinni nam być za to wdzięczni. – To z nami będzie się wyrównywało rachunki, nie z nimi. – Ujdzie im na sucho, zobaczycie. Podczas gdy my...! – Nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa. – Wiadomości z frontu są doskonałe. DOSKONAŁE!

– Henri chce adres Lamballe’a – powtarza Monsieur Philibert. – Trzeba się przezwyciężyć, mój mały.

– Rozumiem doskonale pańskie przemilczenia – mówi Khédive. – I mam taką

propozycję: wskaże nam pan najpierw miejsca, gdzie tej nocy można zaaresztować wszystkich członków siatki.

– Proste uruchomienie sprawy – dorzuca Monsieur Philibert. – Potem będzie panu o wiele łatwiej wykrztusić nam adres Lamballe’a.

– Połów odbędzie się tej nocy – szepcze Khédive. – Słuchamy cię, moje dziecko.

Żółty notes kupiony na ulicy Réaumur. – Pan jest studentem? – zapytała sprzedawczyni. (Świat interesuje się młodymi ludźmi. Do nich należy przyszłość, chciałoby się znać ich plany, zasypuje się ich pytaniami). Trzeba by mieć latarkę, żeby odnaleźć właściwą stronicę. Nic nie widać w tym półcieniu. Przewracają kartki notesu z nosami przyklejonymi do papieru. Pierwszy adres jest zapisany drukowanymi literami: adres porucznika, szefa siatki. Trzeba starać się zapomnieć o jego niebieskoczarnych oczach i ciepłym brzmieniu głosu, kiedy mówił: „W porządku, mój mały?”. Chciałoby się, żeby porucznik miał wszystkie możliwe wady, żeby był nędznym, pretensjonalnym hipokrytą. To uprościłoby sprawy. Ale nie można znaleźć najmniejszej skazy w tym kryształowo czystym człowieku. Ostatnią deską ratunku jest myśl o uszach porucznika. Wystarczy uważnie przyjrzeć się tej chrząstce, żeby odczuć nieodpartą chęć wymiotowania. Jak ludzie mogą mieć tak odrażające narośle? Trzeba wyobrazić sobie uszy porucznika tam, na biurku, większe niż w naturze, szkarłatne i poprzecinane żyłkami. Wtedy jednym tchem wymienia się miejsce, gdzie można znaleźć go tej nocy: plac Châtelet. Potem już idzie gładko. Podaje się kilkanaście nazwisk i adresów, nie zaglądając nawet do notesu. Przybiera się ton dobrego ucznia, który recytuje bajkę La Fontaine’a.

– Piękny połów w perspektywie – mówi Khédive.

Zapala papierosa, czubkiem nosa celując w sufit, i puszcza kółka dymu. Monsieur Philibert usiadł przed biurkiem i przerzuca kartki notesu. Sprawdza z pewnością adresy.

Tamci nie przestają rozmawiać między sobą. – A gdybyśmy jeszcze zatańczyli? Mrówki mi już chodzą po nogach. – Łagodną muzykę, chcemy łagodnej muzyki! – Niech każdy powie swoje życzenie! rumba! – *Serenata ritmica!* – *So stell ich mich die Liebe vor!* – *Coco Seco!* – *Whatever Lola wants!* – *Guapo Fantoma!* – *No me dejes de querer!* – A gdybyśmy tak zagrali w hide and seek? Klaszczą w ręce. – Tak, tak! hide

and seek! Wybuchają śmiechem, który wibruje w ciemnościach.

Kilka godzin wcześniej. Wielka kaskada w Bois de Boulogne. Orkiestra męczyła walca kreolskiego. Dwie osoby zajęły miejsca przy stoliku sąsiadującym z naszym. Starszy pan z wąsami koloru szarej perły w białym pilśniowym kapeluszu, starsza pani w ciemnoniebieskiej sukni. Wiatr kołysał lampionami zawieszonymi na drzewach. Coco Lacour palił cygaro. Esmeralda popijała grzecznie grenadinę. Nic nie mówili. Właśnie za to ich kocham. Chciałbym ich opisać szczegółowo. Coco Lacour: rudowłosy olbrzym, oczy ślepeca, przeświecane od czasu do czasu bezgranicznym smutkiem. Często chowa je za ciemnymi okularami, a jego ciężki, niepewny krok nadaje mu wygląd lunatyka. Wiek Esmeraldy? To całkiem malutka dziewczynka. Mógłbym zebrać na ich temat mnóstwo wzruszających szczegółów, ale wyczerpany porzucam tę myśl. Coco Lacour, Esmeralda, imiona wam wystarczą, jak mnie wystarcza ich milcząca obecność obok. Esmeralda z zachwytem przyglądała się muzykantom. Coco Lacour uśmiechał się. Jestem ich aniołem stróżem. Będziemy przychodzili każdego wieczoru do Bois de Boulogne, by mocniej odczuć urok lata. Wejdziemy do tej zaczarowanej krainy pełnej jezior, leśnych ścieżek i herbaciarni zanurzonych w zieleni. Nic się tu nie zmieniło od naszego dzieciństwa. Przypominasz sobie? Grałeś w serso w alejach Pré Catelan. Wiatr muskał włosy Esmeraldy. Jej profesor muzyki powiedział mi, że robi postępy. Uczyła się solfeżu metodą Beyera i wkrótce grała małe fragmenty Wolfganga Amadeusza Mozarta. Coco Lacour zapalał cygaro, nieśmiało, jak gdyby się usprawiedliwiał. Kocham ich. Nie ma najmniejszego przeczulenia w mojej miłości. Myślę: gdyby mnie tu nie było, zdeptano by ich. Biedni, ułomni. Zawsze milczący. Lada podmuch, gest wystarczyłyby, żeby ich zniszczyć. Przy mnie nie potrzebują się niczego obawiać. Czasem bierze mnie ochota, żeby ich opuścić. Wybrałbym odpowiednią chwilę. Dziś wieczór na przykład. Wstałbym i powiedział do nich po cichu: „Czekajcie, zaraz wrócę”. Coco Lacour potrząsnąłby głową. Biedny uśmiech Esmeraldy. Musiałbym zrobić dziesięć pierwszych kroków, nie odwracając się. Potem poszłoby już gładko. Biegłbym aż do samochodu i ruszyłbym błyskawicznie. Najtrudniejsze: nie rozluźnić ściskania przez kilka

sekund poprzedzających duszenie. Ale też niewiele warte jest uczucie nieokreślonej ulgi, jaką odczuwa się w chwili, gdy ciało, rozprężając się, schodzi bardzo powoli w głąb. Dotyczy to w równym stopniu męczarni tonącego, co poczucia zdrady wynikającej z porzucenia kogoś w nocy. Kogoś, komu się obiecało powrócić. Esmeralda bawiła się słomką. Dmuchała w nią, robiąc z grenadyny musujący napój. Coco Lacour palił cygaro. Kiedy napada mnie szaleńcza myśl, by ich opuścić, obserwuję każde z osobna, zwracam uwagę na najdrobniejsze szczegóły ich ruchów, śledząc wyraz ich twarzy jak człowiek, który niepewny swych kroków czepia się poręczy mostu. Jeśli ich opuszczę, powrócę znów do poprzedniej samotności. Jest lato, mówiłem sobie, żeby się uspokoić. Za miesiąc wszyscy wrócą. Było lato, rzeczywiście, ale przedłużało się w sposób podejrzany. Żadnego samochodu w Paryżu. Ani jednego przechodnia. Od czasu do czasu przerywały ciszę uderzenia zegara. Na zakręcie alei pełnej słońca przyszło mi na myśl, że to chyba zły sen. Ludzie opuścili Paryż w lipcu. Wieczorem zebrali się po raz ostatni na tarasach Champs-Elysées i Bois de Boulogne. Nigdy bardziej dotkliwie niż wtedy nie odczuwałem smutku lata. To sezon sztucznych ogni. Cały ten świat odchodzący na zawsze rozrzucał swe ostatnie blaski pod dachem z liści i lampionów. Ludzie potracali się, mówili zbyt głośno, śmiali się, ściskali nerwowo. Słyszało się brzęk tłuczonego szkła, trzaskanie drzwiczek samochodów. Rozpoczął się exodus. Przez cały dzień przechadzałem się po tym mieście zdany na łaskę losu. Kominki dymią: mieszkańcy palą stare papiery przed wyprowadzką. Nie chcą obarczać się zbędnymi bagażami. Sznury aut ciągną w stronę przedmieść Paryża, a ja siadam na ławce. Chciałbym im towarzyszyć w ucieczce, ale nie mam nic do ocalenia. Kiedy odjadą, wypełzną cienie i otoczą mnie kołem. Rozpoznam kilka twarzy. Kobiety są przesadnie uszmkowane, mężczyźni prezentują murzyńską elegancję: buty z krokodyla, pstrokate ubrania, platynowe sygnety. Niektórzy nawet odsłaniają przy każdej okazji rząd złotych zębów. Jestem więc w rękach osobników niezbyt godnych szacunku: szczurów, które biorą w posiadanie miasto, gdy dzuma zdziesiątkowała już mieszkańców. Wręczają mi kartę policyjną, zezwolenie na noszenie broni i polecają wkroczyć się do „siatki” po to, by ją zniszczyć. Od czasów mojego dzieciństwa dawałem tyle razy obietnice, których nie dotrzymywałem, wyznaczałem tyle spotkań, na które nie poszedłem, że wydawało

mi się dziecinnie łatwe stać się teraz przykładowym zdrajcą. „Czekajcie, wróćę...” Te wszystkie twarze oglądane po raz ostatni, zanim pochłonie je noc... Niektórzy nie mogli sobie wyobrazić, że ich opuściłem. Inni wpatrywali się we mnie pustym wzrokiem: „Powiedz, wrócisz?”. Przypominam też sobie dotkliwy skurcz serca za każdym razem, kiedy patrzyłem na zegarek: oczekują mnie od pięciu, dziesięciu, dwudziestu minut. Jeszcze chyba nie stracili zaufania. Miałem ochotę biec na spotkanie i ten zawrót głowy trwał zwykle godzinę. Kiedy się denuncjuje, jest o wiele łatwiej. Zaledwie kilka sekund, czas na wymienienie w pośpiechu nazwisk i adresów. Szpicel. Zostanę nawet mordercą, jeśli tego zechcą. Będę zabijał swoje ofiary, z rewolweru. Potem będę oglądał ich okulary, breloczki, chusteczki, krawaty – nieszczęsne przedmioty, które mają znaczenie tylko dla tego, do kogo należą, i które wzruszają mnie jeszcze bardziej niż twarze zmarłych. Zanim zabiję, nie będę spuszczał z oczu jednej z najbardziej niepokąźnych części ich ubioru: butów. To nieprawda, że drżenie rąk, mimika twarzy, spojrzenie, intonacja głosu są jedynymi oznakami, które mogą nas wzruszyć od pierwszej chwili. Ja odnajduję patos w butach. I kiedy będę odczuwał wyrzuty sumienia, że zabiłem, nie będę myślał o ich uśmiechu ani zaletach ducha, lecz o ich butach. Jak widać, zadania małej policji diabelnie odpowiadają tym czasom. Mam kieszenie pełne banknotów. Bogactwo pozwala mi chronić Coco Lacoura i Esmeraldę. Bez nich byłbym zupełnie sam. Czasami myślę, że oni nie istnieją. To ja jestem tym rudowłosym ślepcem i malutką słabą dziewczynką. Wspaniała okazja do rozczulania się nad samym sobą. Jeszcze trochę cierpliwości. Napłyną łzy. I w końcu poznam rozkosze *self-pity* – jak mówią angielscy Żydzi. Esmeralda uśmiechała się do mnie, Coco Lacour ssał cygaro. Starszy pan i starsza pani w ciemnoniebieskiej sukni. Puste stoły wokół nas. Świeczniki, które zapomniano wygaszić... Bałem się, że w każdej chwili mogę usłyszeć pisk hamujących na jezdni samochodów. Trzasnęłyby drzwiczki, zbliżyliby się do nas powoli, rozkołysanym krokiem. Esmeralda puszczała bańki mydlane i unosząc brwi, patrzyła, jak lecą. Jedna z nich rozbiła się o policzek starszej pani. Drżały drzewa. Orkiestra grała pierwsze takty czardasza, potem coś w rodzaju fokstrota i marsz wojskowy. Wkrótce nie będzie wiadomo, o jaką muzykę chodzi. Instrumenty dostają czkawki, i znów widzę twarz tego człowieka, którego wlekli do salonu z rękami związanymi paskiem. Chciał

zyskać na czasie i najpierw stroił wdzięczne miny, jakby chciał ich rozbawić. Nie mogąc dłużej opanować strachu, próbował ich skaptować: robił do nich perskie oko, odkrywał swe prawe ramię krótkimi, szarpiącymi ruchami, demonstrował taniec brzucha, drżąc na całym ciele. Nie trzeba zostawać tutaj ani sekundy dłużej. Muzyka zamrze po ostatnim akordzie. Świeczniki zgasną.

– Zabawa w ciuciubabkę? – Wspaniały pomysł! – Nie będziemy musieli zawiązywać sobie oczu. – Wystarczą ciemności. – Pan zaczyna, Odicharvi! – Chowajcie się!

Stąpają cicho. Słyszą, jak otwierają drzwi szafy. Pewno chcą się w niej ukryć. Wydaje się, jakby skradali się wokół biurka. Podłoga trzeszczy. Ktoś potrąca jakiś mebel. Czyjaś sylwetka rysuje się na tle okna. Gardłowe śmiechy. Westchnienia. Ich ruchy stają się szybsze. Muszą biegać we wszystkie strony. – Mam pana, Baruzzi. – Nie udało się, jestem Helder. – Kto to jest? – Niech pan zgadnie! – Rosenheim? – Nie! – Costachesco? – Nie. – Poddaje się pan?

– Zaaresztujemy ich tej nocy – oznajmia Khédive. – Porucznika i wszystkich członków siatki. WSZYSTKICH. Ci ludzie utrudniają nam robotę.

– Nie wskazał nam pan jeszcze adresu Lamballe’a – szepcze Monsieur Philibert. – Kiedy się pan zdecyduje, chłopcze? dalejże!...

– Daj mu odetchnąć, Pierrocie.

Nagle zapala się znów światło. Mrużą oczy. Oto oni naokoło biurka. – Wyszło mi w gardle. – Pijmy, drodzy przyjaciele, pijmy! – Piosenkę, Baruzzi! piosenkę! – Był sobie mały żaglowiec... – Niech pan śpiewa dalej, Baruzzi, niech pan śpiewa! – który ni-ni-ni-gdy nie żeglował... – Chcecie, żebym wam pokazała swoje tatuaże?, proponuje Frau Sultana. Zrywa stanik. Na każdej piersi znajduje się granatowa kotwica. Baronowa Lydia Stahl i Violette Morris przewracają ją i zdzierają z niej resztę ubrania. Broni się, wrywa z ich objęć i podnieca je, wydając zdławione okrzyki. Violette Morris pędzi za nią przez salon, gdzie w kącie Zieff ssie skrzydło kurczaka. – Przyjemnie obżerać się w czasach restrykcji. Wiecie, co zrobiłem przed chwilą? Siadłem przed lustrem i napacykowałem sobie twarz tłustą wątróbką! Tłustą wątróbką po piętnaście tysięcy franków porcja! (Wybuchła gromkim śmiechem). –

Jeszcze trochę koniaku?, proponuje Pols de Helder. Nie do zdobycia teraz już nigdzie. Ćwierć litra warte jest sto tysięcy franków. Angielskie papierosy? Przysyłają mi je prosto z Lizbony. Dwadzieścia tysięcy franków paczka.

– Wkrótce będzie się do mnie mówić panie prefekcie policji – oświadcza Khédive suchym głosem.

I natychmiast jego wzrok zapada w pustkę.

– Za zdrowie prefekta! – ryczy Lionel de Zieff.

Zatacza się i zwala na pianino. Szklanka wypadła mu z rąk. Monsieur Philibert wertuje plik papierów w towarzystwie Paula Hayakawy i Baruzziego. Bracia Chapochnikoff kręcą się koło gramofonu. Simone Bouquereau przegląda się w lustrze.

Die Nacht

Die Musik

Und dein Mund

podśpiewuje baronowa Lydia, wykonując taneczne pas.

– Seans paneurytmii seksualno-boskiej? – rzy mag Ivanoff swym głosem ogiera.

Khédive przypatruje im się ze smutkiem – będzie się do mnie mówić panie prefekcie. Podnosi głos: „Panie prefekcie policji!”. Wali pięścią w biurko. Tamci nie zwracają wcale uwagi na ten wybuch złego humoru. Wstaje, uchyla lewe okno salonu.

– Niech pan podejdzie do mnie, mój mały, potrzebuję pańskiej obecności! Chłopiec tak delikatny jak pan! tak wrażliwy... pan mi koi nerwy!...

Zieff chrapie na pianinie. Bracia Chapochnikoff przestali nastawiać gramofon. Przeglądają wazy z kwiatami, jedną po drugiej, poprawiając ułożenie orchidei, głaszcząc płatki dalii. Kilka razy odwracają się w stronę Khédive’a i rzucają na niego przestraszone spojrzenia. Simone Bouquereau wydaje się zafascynowana swoją twarzą w lustrze. Jej fioletowe oczy powiększają się, cera staje się coraz bardziej blada. Violette Morris usiadła na pluszowej kanapie obok Frau Sultany. Wyciągnęły dłonie swych białych rąk do maga Ivanoffa.

– Zanotowano zwyczaję cen na wolfram – oznajmia Baruzzi. – Mogę wam się o niego wystarać po przystępnych cenach. Jestem w komitywie z Guy Maxem, z biura zakupów przy ulicy Villejust.

– Sądziłem, że on zajmuje się wyłącznie tekstyliami – mówi Monsieur Philibert.

– Przeorganizował się – stwierdza Hayakawa – Sprzedał swój towar w Macias-Reoyo.

– A może wolicie niewyprawione skóry? – pyta Baruzzi. – Chromowana skóra cielęca zdrożała o sto franków.

– Odicharvi mówił mi o trzech tonach wełny czesankowej, której się chciał pozbyć. Pomyślałem o panu, Philibercie.

– Co by pan powiedział o trzydziestu sześciu tysiącach talii kart do gry, które mógłbym zacząć dostarczać panu od jutra rana? Może pan je odsprzedać po wyższej cenie. Jest okazja. Uruchomili *Schwerpunkt Aktion* od początku miesiąca.

Ivanoff bada dłoń markizy. – Ani słowa!, krzyczy Violette Morris. Mag przepowiada jej przyszłość! Ani słowa! – Co pan o tym sądzi, mój mały? – pyta mnie Khédive. Ivanoff wodzi za nos kobiety swoją różdżką. Jego sławna laseczka z lekkich metali! Nie mogą się już obejść bez niego! Mistyczki, mój drogi! Wykorzystuje to. Stary błazen! – Opiera się łokciem o poręcz balkonu. W dole jest plac ustronny, jakich wiele w XVI dzielnicy. Uliczne latarnie rzucają dziwaczne niebieskawe światło na okryte liśćmi gałęzie drzew i koncertową altankę. – Czy pan wie, mój synu, że prywatny hotel, w którym się znajdujemy, należał przed wojną do pana de Bel-Respiro? (Jego głos staje się coraz bardziej oschły). Znalazłem w szafie listy, które pisał do żony i dzieci. Rodzinny człowiek! Niech pan patrzy, oto on. – Wskazuje na portret naturalnej wielkości, zawieszony między oknami. – Pan de Bel-Respiro we własnej osobie, w mundurze oficera spahisów! Niech pan zobaczy te wszystkie ordery! Tak, to jest cała Francja!

– Dwa kilometry kwadratowe sztucznego jedwabiu? – proponuje Baruzzi. – Sprzedam panu za pół darmo! Pięć ton sucharów? Wagony zostały unieruchomione na granicy hiszpańskiej. Otrzyma pan bardzo szybko talony na odblokowanie. Ja zadowolę się tylko małą prowizją, Philibercie.

Bracia Chapochnikoff krążą wokół Khédive'a, bojąc się do niego odezwać. Zieff śpi z otwartymi ustami. Frau Sultana i Violette Morris poddają się czarowi słów Ivanoffa: Strumień astralny... święty pentagram... kłosa ziemi żywicielki... wielkie linie telluryczne... paneurytmia magiczna... Betelgeuse... Ale Simone Bouquereau siedzi z nosem w lustrze.

– Te wszystkie finansowe transakcje mnie nie interesują – ucina sprawę Monsieur Philibert.

Baruzzi i Hayakawa, zawiedzeni, idą, kołysząc się, w stronę fotela Lionela Zieffa, klepią go po ramieniu, żeby się obudził. Monsieur Philibert z ołówkiem w ręku przegląda akta.

– Widzi pan, mój drogi chłopcze – zaczyna znów Khédive (można by pomyśleć naprawdę, że zaraz zaleje się łzami) – nie zdobyłem wykształcenia. Byłem sam, kiedy pochowano mojego ojca, i spędziłem noc, leżąc na jego grobie. A była to bardzo zimna noc. Kiedy miałem czternaście lat, dom poprawczy w Eysses... batalion karny... Fresnes... Mogłem spotkać tylko uliczników jak ja... Życie...

– Niech się pan obudzi, Lionelu! – wrzeszczy Hayakawa.

– Musimy panu coś ważnego powiedzieć – dorzuca Baruzzi.

– Dostarczymy panu piętnaście tysięcy ciężarówek i dwie tony niklu, jeśli nam pan zapłaci piętnaście procent za pośrednictwo. – Zieff mruży oczy i wyciera sobie czoło błękitną chusteczką. – Wszystko, co chcecie, byle tylko móc się napychać aż do pęknięcia żołądka. Czy nie zauważyliście, że utuczyłem się przez ostatnie dwa miesiące? To daje zadowolenie w tych czasach restrykcji. – Rusza ociężale w stronę kanapy i wsuwa rękę za stanik Frau Sultany. Ta broni się i z rozmachem wymierza mu policzek. Ivanoff śmieje się szyderczo. – Wszystko, co będziecie chcieli, moje dzióbaski, powtarza Zieff schrypniętym głosem. Wszystko, co będziecie chcieli. – Więc uzgodnione na jutro rano, Lionelu?, pyta Hayakawa. Mogę o tym pomówić z Schiedlauskym? Ofiarujemy panu tytułem premii wagon kauczuku.

Monsieur Philibert, siedząc za pianinem, próbuje z namysłem kilku akordów.

– A jednak, mój mały – ciągnie dalej Khédive – zawsze pragnąłem być kimś godnym szacunku. Niech pan mnie nie łączy, bardzo proszę, z osobami, które są

tutaj...

Simone Bouquereau maluje się przed lustrem. Violette Morris i Frau Sultana mają zamknięte oczy. Mag zapewne wzywa gwiazdy. Bracia Chapochnikoff trzymają się blisko pianina. Jeden z nich nakręca znów metronom, drugi rozkłada partyturę Monsieur Philibertowi.

– Lionel de Zieff na przykład! – szepcze Khédive. – Opowiem panu mnóstwo o tym rekinie interesów! I o Baruzzim! Hayakawie! O wszystkich innych! Ivanoff? Ohydny szantażysta! Baronowa Lydia jest kurwą...

Monsieur Philibert kartkuje partyturę. Od czasu do czasu wystukuje takt. Bracia Chapochnikoff rzucają na niego przestraszone spojrzenia.

– Widzi pan, mój chłopcze – kontynuuje Khédive – wszystkie szczury skorzystały z niedawnych „wydarzeń”, żeby wydostać się znów na powierzchnię! Ja sam... ale to inna historia! Niech pan nie ufa pozorom! Niedługo będę przyjmował w tym salonie ludzi najbardziej szanowanych w Paryżu. Będzie się mnie tytułować panem prefektem! PAN PREFEKT POLICJI, słyszy pan? – Odwraca się i pokazuje na portret naturalnej wielkości. – Ja sam! Jako oficer spahisów! Niech pan patrzy na ordery! Legia Honorowa! Krzyż Grobu Świętego! Krzyż Świętego Jerzego z Rusi! Daniła z Czarnogóry, Wieży i Szpady z Portugalii! Nie mam czego zazdrościć panu de Bel-Respiro! Mogą mu kazać drogo za to zapłacić!

Trzaska obcasami.

Nagła cisza.

To walc – to, co on gra. Kaskada tonów piętrzy się, wylewa, rozbryzguje na dalie i orchidee. Monsieur Philibert trzyma się bardzo prosto. Zamknął oczy.

– Słyszysz pan, moje dziecko? – pyta Khédive. – Proszę spojrzeć na jego ręce! Pierre może grać godzinami, bez potknięcia. Nigdy żadnych skurczów! Artysta!

Frau Sultana kołysze lekko głową. Już po pierwszych dźwiękach obudziła się z odrętwienia. Violette Morris wstaje i wiruje samotnie aż na drugi koniec salonu. Paulo Hayakawa i Baruzzi zamilkli. Bracia Chapochnikoff słuchają z otwartymi ustami. Zieff także wydaje się zahipnotyzowany szalejącymi po klawiaturze rękami Monsieur Philiberta. Ivanoff z wysuniętą brodą bada sufit. Ale Simone Bouquereau

kończy swój makijaż przed weneckim zwierciadłem jak gdyby nigdy nic.

Uderza akordy z całej siły, pochyla tors, oczy ma wciąż zamknięte. Walc jest coraz bardziej porywisty.

– Lubi pan, mój mały? – pyta Khédive.

Monsieur Philibert zatrzasnął gwałtownie pianino. Wstaje, rozcierając sobie ręce i podchodzi do Khédive'a. Po chwili:

– Przyskrzyniliśmy kogoś, Henri. Rozprowadzanie ulotek. Złapaliśmy go na gorącym uczynku. Breton i Roecreux zajmują się nim w piwnicy.

Tamci są jeszcze odurzeni walcem. Nie mówią ani słowa i stoją nieruchomo w miejscu, w którym muzyka ich opuściła.

– Mówiłem mu o panu, Pierre – szepcze Khédive. – Mówiłem mu, że jest pan wrażliwym chłopcem, nieprzeciętnym melomanem, artystą...

– Dziękuję, Henri. Zgadza się, ale nie cierpią wielkich słów. Powinien pan wytłumaczyć temu młodzieńcowi, że jestem policjantem, nic więcej!

– Pierwszy „głina” Francji! Pewien minister tak powiedział!

– To było dawno, Henri!

– W owym czasie, Pierre, bałbym się pana! Inspektor Philibert! A, fe! Kiedy będę prefektem policji, mianuję cię komisarzem, mój drogi.

– Niech się pan zamknie!

– Ale pan mnie kocha mimo to?

Przeraźliwy krzyk. Potem dwa. Potem trzy. Krańcowo przenikliwe. Monsieur Philibert spogląda na zegarek. – Już trzy kwadransy. Powinien się złamać! Pójdę zobaczyć! Bracia Chapochnikoff idą za nim krok w krok. Inni – pozornie – nic nie usłyszeli.

– Jesteś najpiękniejsza, oświadcza Paulo Hayakawa baronowej Lydii, podając jej kielich szampana. – Naprawdę? Frau Sultana i Ivanoff patrzą sobie w oczy. Baruzzi skrada się jak kot do Simone Bouquereau, ale Zieff podstawia mu nogę w przejściu. Baruzzi, upadając, pociąga za sobą wazę z daliami. – Zachciało się bawić w galanta? Przestało się zwracać uwagę na swego grubego Lionela? – Wybuchają śmiechem i wachluje się błękitną chusteczką.

– To ten typ, którego znaleźli, szepcze Khédive, roznosiciel ulotek! Zajmują się nim! W końcu się złamie, mój drogi. Chcesz go zobaczyć? – Za zdrowie Khédive’a!, ryczy Lionel de Zieff. – Za zdrowie inspektora Philiberta, dodaje Paulo Hayakawa, głaszcząc kark baronowej. Przenikliwy krzyk. Potem dwa. Przedłużony szloch.

– Mów albo zdychaj! – wrzeszczy Khédive.

Tamci nie zwracają na to w ogóle uwagi. Z wyjątkiem Simone Bouquereau, która malowała się przed lustrem. Odwraca się. Wielkie fioletowe oczy wpatrują się z uporem w jego twarz. Na brodzie ma czerwoną krechę ze szminki do ust.

Jeszcze przez kilka minut słyszeliśmy muzykę. Ucichła w chwili, gdy przecinaliśmy skrzyżowanie Cascades. Prowadziłem samochód. Coco Lacour i Esmeralda zajmowali miejsca z przodu. Jechaliśmy wzdłuż drogi des Lacs. Piekło zaczyna się na skraju lasu: bulwar Lannes, bulwar Flandrin, aleja Henri-Martina. To najstraszniejsza dzielnica mieszkaniowa w Paryżu. Spokój, który tu niegdyś panował już od godziny ósmej wieczorem, miał w sobie coś kojącego. Spokój mieszczan dobrze wychowanych w pilśniach i aksamitach. Można było sobie wyobrazić rodziny zgromadzone po obiedzie w salonie. Teraz nie wiadomo już wcale, co dzieje się za wielkimi czarnymi fasadami. Od czasu do czasu mijał nas samochód z wygaszonymi wszystkimi światłami. Bałem się, żeby nie zatrzymał się i nie zabarykadował nam drogi.

Skręciliśmy w aleję Henri-Martina. Esmeralda spała. Po godzinie jedenastej małym dziewczynkom z wielkim trudem udaje się utrzymać otwarte oczy. Coco Lacour majstrował coś przy tablicy rozdzielczej, kręcił gałką radia. Nie zdawali sobie sprawy, jedno ani drugie, jak bardzo kruche było ich szczęście. Ja sam martwiłem się o to. Byliśmy trojgiem dzieci, które w wielkim samochodzie przemierzały złowrogie ciemności. I gdyby przypadkowo zabłysło światło w oknie, nie powinienem dać się zwieść. Znam dobrze tę dzielnicę. Khédive kazał mi przetrząsać prywatne hotele w poszukiwaniu dzieł sztuki: hotele Second Empire, osiemnastowieczne „Folies”, hotele 1900 z witrażami, quasi-gotyckie zamki. Pilnował ich już tylko przestraszony dozorca, o którym uciekając, zapomniał właściciel. Dzwoniłem do drzwi,

pokazywałem swoją kartę policyjną i przeprowadzałem inspekcję pomieszczeń. Pamiętam dalekie spacerunki: Maillot, la Muette, Auteuil, takie były moje etapy. Siadałem na ławce, w cieniu kasztanowych drzew. Nikogo na ulicach. Mogłem rewidować wszystkie domy dzielnicy. Miasto należało do mnie.

Plac Trocadéro. Obok mnie Coco Lacour i Esmeralda, dwoje kamiennych towarzyszy. Mama mi mówiła: „Ma się takich przyjaciół, na jakich się zasługuje”. Na co odpowiadałem jej, że ludzie są zbyt gadatliwi jak na mój gust i że nie znoszę roju błękitnych much, które wylatują im z ust. Przyprawia mnie to o ból głowy. Zapiera dech w piersiach, który i tak mam bardzo krótki. Porucznik na przykład to gawędziarz zadziwiający. Za każdym razem kiedy wchodzę do jego gabinetu, wstaje i zaczyna rozmowę od „mój młody przyjacielu” albo „mój drogi chłopcze”. Potem wyrzuca z siebie słowa w tak szalonym tempie, że nie ma nawet czasu, by je w całości wymówić. Zwalnia na chwilę, ale tylko po to, aby w następnej minucie zalać mnie jeszcze większym potokiem słów. Jego głos staje się coraz bardziej piskliwy. Na koniec krzyczy i słowa więzną mu w gardle. Tupie nogą, macha rękami, skręca się konwulsyjnie, dostaje czkawki, nagle zaspia się i podejmuje na nowo przemowę na jednej strunie głosu. Kończy słowami „Odwagi, mój stary”, które szepcze na granicy wyczerpania.

Na początku powiedział do mnie: „Potrzebuję pana. Zrobimy dobrą robotę. Ja zostanę w ukryciu z moimi ludźmi. Pańska misja: wkręcić się do naszych wrogów. Powiadomić nas możliwie dyskretnie o zamiarach tych drani”. Zaznaczył mi wyraźnie różnice: Dla niego i jego sztabu niewinność i bohaterstwo. Dla mnie rola w podwójnej grze i haniebna robota szpiclowania. Kiedy tej nocy czytałem znów *Antologię zdrajców, od Alcybiadesa do kapitana Dreyfusa*, wydawało mi się, że właściwie podwójna gra i – dlaczego nie? – zdrada odpowiadały mojemu usposobieniu sowizdrzała. Za mało siły ducha, abym mógł umieścić się po stronie bohaterów. Za dużo miękkości i roztargnienia, żeby stać się prawdziwym łobuzem. Za to widoczna uprzejmość, potulność i kierowanie się odruchem.

Wracaliśmy aleją Klébera. Coco Lacour ziewał. Esmeralda zasnęła i jej mała głowa kołysała się na moim ramieniu. Jest pora, kiedy oni kładą się spać. Aleja Klébera. Owej nocy jechaliśmy tą samą drogą po wyjściu z *Heure mauve*, kabaretu na

Champs-Élysées. Grupa zniewieściałych osobników obsiadła ciasno stoły obite czerwonym aksamitem i stołki przy barze: Lionel de Zieff, Costachesco, Lussatz, Méthode, Frau Sultana, Odicharvi, Lydia Stahl, Otto da Silva, bracia Chapochnikoff... Wilgotny półcień. Zapach egipskich perfum unosił się w powietrzu. Tak więc było w Paryżu kilka wysepek, gdzie starano się zignorować „nieszczęście, jakie wydarzyło się w poprzednich dniach” i gdzie przechowały się nienaruszona radość życia i frywolność sprzed wojny. Przypatrując się wszystkim tym twarzom, powtarzałem sobie zdanie, jakie gdzieś przeczytałem: „Niebieskie ptaki na manowcach zdrady i morderstwa...”. Obok baru grał gramofon:

Dobranoc

Piękna pani

Przyszedłem

Powiedzieć ci dobranoc...

Khédive i Monsieur Philibert wyciągnęli mnie na zewnątrz. Biały bentley czekał w dole ulicy Marbeuf. Usiedli koło szofera, ja zająłem miejsce z tyłu. Reflektory rzucały łagodnie niebieskawe światło.

– Bez znaczenia – oznajmił Khédive, wskazując na szofera. – Eddy widzi w ciemności.

– W obecnej chwili, powiedział do mnie Monsieur Philibert, ujmując mnie za ramię, istnieje mnóstwo możliwości dla młodego człowieka. Trzeba wybrać najlepszą partię i chcę panu w tym pomóc, mój chłopcze. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Ma pan wąskie białe dłonie i bardzo delikatne zdrowie. Niech pan uważa. Jeśli mam służyć radą, to nie warto zgrywać bohatera. Trzeba zachować spokój. Niech pan pracuje z nami: tak jest, albo męczeństwo, albo sanatorium. – Na przykład całkiem drobna robota konfidenta, nic by to panu nie mówiło?, pytał mnie Khédive. – Bardzo hojnie wynagradzana, dorzucił Monsieur Philibert. I zupełnie legalna. Wystawimy panu kartę policyjną i zezwolenie na broń. – Chodzi o to, żeby się pan wkręcił do tajnej organizacji po to, by ją zniszczyć. Będzie nas pan informował o obyczajach tych

panów. – Przy zachowaniu odrobiny roztropności nie będą pana podejrzewać. – Wydaje mi się, że pan wzbudza zaufanie. – I że można panu dać Pana Boga bez spowiedzi. – Ma pan obiecujący uśmiech. – I piękne oczy, chłopcze! – Zdrajcy zawsze mają jasne spojrzenie. Mówili coraz szybciej. W końcu miałem wrażenie, że mówią jednocześnie. Te roje błękitnych motyli, które wylatywały im z ust... Wszystko, czego by tylko chcieli... Konfident, płatny morderca, byleby tylko na chwilę zamilkli i pozwolili mi spać. Konfident, zdrajca, morderca, motyle...

– Zabieramy pana do naszej nowej kwatery głównej, zdecydował Monsieur Philibert. To prywatny hotel na skwerze Cimarosa 3 bis. – Urządzimy tam oblewanie mieszkania, dorzucił Khédive. Ze wszystkimi naszymi przyjaciółmi. – *Home, sweet home*, zanucił Monsieur Philibert.

Kiedy wszedłem do salonu, przypomniało mi się tajemnicze zdanie: „Niebieskie ptaki na manowcach zdrady i morderstwa”. Byli wszyscy w komplecie. Co chwila przybywali nowi: Danos, Codébo, Reocreux, Vital-Léca, Robert le Pâle... Bracia Chapchnikoff nalewali im szampana. – Proponuję panu małe tête-à-tête, szepnął mi Khédive. Pańskie wrażenia? Jest pan zupełnie blady. Trochę alkoholu? Podał mi kielich napełniony po brzegi różowym płynem. – Widzi pan, mówił, otwierając okno i wyciągając mnie na balkon, począwszy od dzisiaj jestem panem imperium. Tu nie chodzi tylko o pomocniczą służbę policyjną. Odwalimy olbrzymie interesy! Zatrudnimy ponad pięciuset naganiaczy! Philibert pomoże mi w sprawach administracyjnych! Skorzystałem z nadzwyczajnych wypadków, jakie przeżyliśmy w ostatnich miesiącach! Upał był tak ciężki, że zasnuwał mgłą okna salonu. Przyniesiono mi znów kielich różowego płynu, który wypilem, opanowując mdłości. – A poza tym (wierzchem dłoni głaskał mnie po policzku) będzie pan mógł dawać mi rady, czasem pokierować mną. Nie zdobyłem wykształcenia. (Mówił coraz ciszej). W wieku czternastu lat dom poprawczy w Eysses, następnie batalion karny, relegacja... Ale chcę być szanowany, słyszy pan! Oczy mu błyszczały. Z wściekłością: „Wkrótce będę prefektem policji! Będzie się do mnie mówiło PANIE PREFEKTCIE!”. Wali pięściami o poręcz balkonu: „PANIE PREFEKTCIE... PANIE PRE-FEK-CIE!”, i natychmiast jego wzrok zapada w pustkę.

W dole, na placu, drzewa parowały. Miałem ochotę wydostać się stąd, ale było na

to z pewnością za późno. Chwyciłby mnie za rękę, a gdybym nawet się wyswobodził, musiałbym przejść przez salon, utorować sobie drogę poprzez gęstą ciżbę, wytrzymać szturm miliona brzęczących os. Zawrót głowy. Wielkie świecące koła, których byłem osi, obracały się coraz szybciej, a serce waliło mi jak oszalałe.

– Słabość? – Bierze mnie pod ramię, prowadzi, sadza na kanapie. Bracia Chapochnikoff – ilu ich było właściwie? – kręcili się to tu, to tam. Hrabia Baruzzi wyjmował z czarnej teczki plik banknotów, które pokazywał Frau Sultanie. Nieco dalej Rachid von Rosenheim, Paulo Hayakawa i Odicharvi rozmawiali z ożywieniem. Inni, których nie rozróżniałem. Wydawało mi się, że wszyscy ci ludzie natychmiast się rozpadali z powodu swych zbyt wygórowanych aspiracji, nieopanowanych ruchów i silnych zapachów, jakimi zionęli. Monsieur Philibert wręczył mi zieloną kartę przekreśloną na czerwono. – Od tej chwili należy pan do policji; wpisałem pana pod imieniem „Swing Trubadur”. Otoczyli mnie wszyscy, wymachując kielichami szampana. – Za zdrowie Swinga Trubadura!, krzyknął Lionel de Zieff i wybuchnął głośnym śmiechem, aż mu krew nabiegła do twarzy. – Za zdrowie Swinga Trubadura!, zapiszczała baronowa Lydia.

To właśnie w tym momencie – jeśli mnie pamięć nie myli – złapał mnie atak kaszlu. Zobaczyłem twarz mamy. Pochylała się nade mną i, jak każdego wieczoru, przed zgaszeniem światła, szeptała mi do ucha: „Skończysz na szafocie!”. – Za pańskie zdrowie, Swingu Trubadurze, powtarzał jeden z braci Chapochnikoff i dotykał lekko mojego ramienia. Inni napierali ze wszystkich stron, przylepiali się do mnie jak muchy.

Aleja Klébera. Esmeralda mówi przez sen. Coco Lacour przeciera oczy. Czas na nich, by szli spać. Nie wiedzą, jedno ani drugie, jak bardzo kruche jest ich szczęście. Z nas trojga ja sam martwię się o to.

– Żałuję, moje dziecko – mówi Khédive – że słyszał pan te krzyki. Ja również nie lubię gwałtu, ale ten typ rozdawał ulotki. To bardzo źle.

Simone Bouquereau przegląda się znów w lustrze i poprawia makijaż. Tamci, odprężeni, świadczą sobie uprzejmości, co doskonale harmonizuje z wystrojem

wnętrza. Znajdujemy się w mieszczańskim salonie, czas poobiedni, pora starych likierów.

– Trochę alkoholu na wzmocnienie, mój mały? – proponuje Khédive.

– „Burzliwy okres”, w jakim się znajdujemy, zauważa mag Ivanoff, działa na kobiety podniecająco. – Większość ludzi z pewnością zapomniała zapachu koniaku w tych czasach restrykcji, śmieje się szydlerzo Lionel de Zieff. Tym gorzej dla nich! – Co pan chce?, szepcze Ivanoff. Kiedy świat zdany jest na łaskę losu... ale uwaga, drogi przyjacielu, ja z tego nie korzystam. Co do mnie, wszystko opiera się na czystych zasadach.

– Skóra cielęca chromowana... – zaczyna Pols de Helder.

– Wagon pełen wolframu... – podpowiada Baruzzi.

– I bonifikata dwadzieścia pięć od stu... – uściśla Jean-Farouk de Méthode.

Monsieur Philibert, pełen godności, wkracza do salonu i zwraca się do Khédive’a. – Wyruszamy za kwadrans, Henri. Pierwszy cel: porucznik, plac Châtelet. Następnie pozostali członkowie organizacji według podanych adresów. Piękny połów! Młody człowiek nas zaprowadzi! Prawda, mój mały Swingu Trubadurze? Niech się pan przygotowuje! Za kwadrans! – Kroplę koniaku dla dodania animuszu, Trubadurze? proponuje Khédive.

– I niech pan nie zapomni wypluć nam adresu Lamballe’a – dodaje Monsieur Philibert. – Zrozumiano?

Jeden z braci Chapochnikoff – lecz ilu ich jest właściwie? – stoi pośrodku pokoju ze skrzypcami opartymi o policzek. Odchrząkuje, potem zaczyna śpiewać pięknym niskim głosem:

Nur

Nicht

Aus Liebe weinen...

Pozostali wybijają takt, klaszcząc w ręce. Smyczek drapie bardzo powoli o struny,

przyspiesza swój ruch tam i z powrotem, przyspiesza jeszcze bardziej... Muzyka nabiera coraz szybszego tempa.

Aus Liebe...

Świetlne koła stają się coraz większe, jak kręgi na wodzie zmaconej przez kamień. Zaczęły się obracać przy stopach skrzypka i sięgają teraz ścian salonu.

*Es gibt auf
Erden...*

Śpiewak dostaje zadyszki, wygląda, że zadławi się po wydaniu ostatniego krzyku. Smyczek przebiega po strunach z coraz większą szybkością. Długo jeszcze będą tak klaskać w ręce do taktu?

Auf dieser Welt...

Salon kręci się teraz, kręci i tylko skrzypek pozostaje nieruchomy.

nicht nur den Hainen...

Kiedy byliście dziećmi, baliście się zawsze tych ujeżdżalni, które pędzą coraz to szybciej i które nazywają się diabelskim młynem. Przypominacie sobie...

Es gibt so viele...

Krzyczeliście, ale to do niczego nie prowadziło, młyńskie koło obracało się dalej.

Es gibt so viele...

Pragnęliście gorąco wsiąść do takiego pojazdu. Dlaczego?

Ich lüge auch

Podnoszą się, klaszcząc w ręce... salon kręci się, kręci i jakby się przechyla. Zaraz tracą równowagę, wazy z kwiatami roztrzaskają się o podłogę. Skrzypek śpiewa coraz szybciej.

Ich lüge auch

Krzyczeliście, ale to do niczego nie prowadziło. Nikt nie mógł was usłyszeć wśród jarmarcznej wrzawy.

Es muss ja Lüge sein...

Twarz porucznika. Dziesięć, dwadzieścia innych twarzy, których nie ma czasu rozpoznać. Salon kręci się o wiele za szybko, jak niegdyś karuzela Sirocco w lunaparku.

den mir gewahlt...

Pod koniec piątej minuty obracała się tak szybko, że nie można już było odróżnić twarzy tych, którzy zostali na dole, żeby się przyglądać.

Heute dir gehoren...

Ale jednak, chwilami, dobiegał nagły wybuch śmiechu, migały w przelocie przed oczami to czyjś nos, to ręka, zęby albo dwoje oczu szeroko otwartych. Niebieskoczarne oczy porucznika. Dziesięć, dwadzieścia innych twarzy. Ci, do których dopiero co wskazało się drogę i którzy zostaną aresztowani tej nocy. Na szczęście przechodzą bardzo szybko jeden za drugim, w rytmie muzyki, i nie ma czasu na studiowanie ich rysów.

und Liebe schwören...

Śpiewa jeszcze szybciej, trzyma kurczowo skrzypce z zapamiętałością tonącego...

Ich liebe jeden

Tamci klaszczą, klaszczą, klaszczą w dłonie, policzki im się nadymają, oczy robią się nieprzytomne, na pewno umrą wszyscy na apopleksję...

Ich lüge auch...

Twarz porucznika. Dziesięć, dwadzieścia innych twarzy, których rysy można teraz odróżnić. Zaraz zostaną aresztowani. Można przypuścić, że będą się domagali wyjaśnień. Wtedy przez kilka minut nie żałuje się wcale, że wskazało się adresy. Stojąc twarzą w twarz z tymi bohaterami, którzy patrzą jasnym wzrokiem, chciałoby się nawet krzyknąć bardzo głośno o swojej roli szpicla. Ale stopniowo kruszy się lakier tych twarzy, niknie cała zarozumiałość, a szlachetna odwaga, która je rozjaśniała, gaśnie jak zdmuchnięta świeca. Łza spływa po czyimś policzku. Ktoś inny pochyla głowę i rzuca wam spojrzenie pełne smutku. Inny patrzy z osłupieniem, jak gdyby nie spodziewał się tego po was...

Als ihr bleicher Leib im Wasser...

Twarze wirują, wirują bardzo powoli. Przechodząc, coś wam szepczą z łagodnym wyrzutem. Potem, przy kolejnym obrocie, rysy im tężeją i nie zwracają już na was uwagi, ich oczy i usta wyrażają potworny strach. Myślą z pewnością o końcu, jaki ich czeka. Stali się na powrót dziećmi, które w ciemności wołały na pomoc mamę...

Von den Büchern in die grösseren Flüsse...

Przypominacie sobie wszystkie przysługi, jakie wam wyświadczyli. Jeden z nich czytał wam listy od swojej narzeczonej.

Als ihr bleicher Leib im Wasser...

Inny nosił buty z czarnej skóry. Jeszcze inny znał nazwy wszystkich gwiazd. WYRZUT SUMIENIA. Te twarze nie przestaną się już obracać i odtąd będziecie mieli złe sny. Ale jedno zdanie porucznika powraca wciąż w pamięci: „Chłopaki z mojej siatki są zdecydowani na wszystko. Jeśli będzie trzeba, umrą, nie otwierając ust”. A więc tym lepiej. Twarze ich znowu przybierają wyraz zaciętości. Niebieskoczarne oczy porucznika. Dziesięć, dwadzieścia innych spojrzeń pełnych wzgardy. Skoro chcą zdechnąć w szlachetności, niech zdychają!

Im Flussen mit Rielen has...

Zamilkł. Oparł skrzypce o kominek. Tamci powoli uspokajają się. Ogarnia ich rodzaj niemocy. Rozwalają się na sofie i fotelach. – Pan jest zupełnie blady, moje dziecko, szepcze Khédive. Niech pan się nie przejmuje. Połów odbędzie się zupełnie na czysto.

Przyjemnie znaleźć się na balkonie, na świeżym powietrzu, i zapomnieć przez chwilę o tym pokoju, gdzie zapach kwiatów, paplanina i muzyka przyprawiły o zawrót głowy. Letnia noc tak łagodna i cicha, wierzycie, że można ją kochać.

– Oczywiście, wykazujemy wszystkie cechy gangsterstwa. Ludzie, którymi się posługuję, nasze brutalne metody, fakt, że zaproponowałem panu robotę szpicla, panu, który ma uroczą mordkę Dzieciątka Jezus, to wszystko nie przysparza nam chwały, niestety...

Drzewa i pawilon na placu toną w rdzawym świetle. – I ta dziwaczna zbieranina ludzi, którzy krążą wokół tego, co nazywam naszą „kuźnią”: rekiny finansjery, damy z półświatka, odwołani inspektorzy policji, morfiniści, szefowie nocnych lokali, w końcu wszyscy ci markizi, hrabiowie, baronowie i księżniczki, którzy nie figurują w księdze Gothy...

W dole, wzdłuż chodnika, sznur wozów. Ich samochody. Tworzą ciemne plamy pośród nocy.

– Rozumiem, że to wszystko może robić złe wrażenie na dobrze wychowanym młodym człowieku. Ale (jego głos nabiera akcentów wściekłości) skoro pan się znajduje tej nocy w towarzystwie ludzi tak mało godnych szacunku, to znaczy, że pomimo pańskiej mordki ministranta... (Bardzo czule). To znaczy, że jesteśmy z tego samego świata, proszę pana.

Blask świeczników rozplómił im twarze, przepala je jak kwas. Rysy się zaostrzają, skóra wysycha, głowy skurczą się zapewne do wymiarów tak malutkich, jakie kolekcjonują Indianie Jívaro. Zapach kwiatów i zwiędłego ciała. Wkrótce z całej tej zbieraniny ludzi zostaną jedynie małe bańki, które rozprysną się na powierzchni kałuży. Już brodzą w różowawym mule, a powierzchnia jego wznosi się, wznosi aż do kolan. Nie pociągną już długo.

– Nudno tutaj – oznajmia Lionel de Zieff.

– Czas wyruszać – mówi Monsieur Philibert. – Pierwszy etap: plac Châtelet. Porucznik!

– Idzie pan, mój mały? – pyta Khédive. – Na dworze jak zwykle kompletny blekaut. Rozdzielają sobie na los szczęścia samochody. – Plac Châtelet! – Plac

Châtelet! – Trzaskają drzwiczki. Ruszają błyskawicznie.

– Nie wyprzedzaj ich, Eddy! – zarządza Khédive. – Widok tych wszystkich pocziwców podnosi mnie na duchu.

– I pomyśleć, że utrzymujemy tę bandę hulaków! – wzdycha Monsieur Philibert. – Trochę pobłażliwości, Pierre. Prowadzimy z nimi interesy. To są nasi wspólnicy. Na dobre i na złe.

Aleja Klébera. Naciskają klaksony, wyciągają do siebie ręce przez okienka, machają, klaszczą. Jadą zygzakami, wpadają w poślizg, zderzają się lekko. Kto podejmie największe ryzyko, kto wywoła najwięcej hałasu w ciemnościach. Champs-Elysées. Concorde. Ulica Rivoli. – Zbliżamy się do dzielnicy, którą dobrze znam, mówi Khédive. Tereny Hal, gdzie spędziłem całą swoją młodość, wyładowując wózki z jarzynami...

Tamci zniknęli. Khédive uśmiecha się i przypala papierosa zapalniczką z masywnego złota. Ulica Castiglione. Na lewo, jak można się domyślać, kolumna placu Vendôme. Plac Pyramides. Samochód jedzie coraz wolniej, jak gdyby znalazł się w pobliżu granicy. Po przejechaniu ulicy du Louvre wydaje się, jakby miasto nagle się zapadło.

– Wjeżdżamy do „brzucha Paryża” – zauważa Khédive.

Fetor, z początku nie do wytrzymania, do którego jednak stopniowo człowiek się przyzwyczaja, chwyta was za gardło nawet wtedy, kiedy szyby samochodu są zamknięte. Powinni zamienić Hal w rzeźnię.

– „Brzuch Paryża” – powtarza Khédive.

Samochód płynie po tłustym bruku. Jakież bryzgi rozchlapują się na masce. Bryzgi błota? Krwi? W każdym razie czegoś lepkiego.

Przecinamy bulwar Sébastopol i wydostajemy się na wielki plac. Zburzono wszystkie domy, które go otaczały i z których ocalały jedynie ściany murów ze strzępami tapet. Po śladach, jakie zostały, można się domyślać położenia schodów, kominków, szaf ściennych. I wymiarów pokoi. Miejsce, gdzie znajdowało się łóżko. Tu stał piec. Tam umywalka. Jedni lubili tapety w kwiaty, inni woleli imitację płócien Jouya. Wydawało mi się nawet, że widzę litografię, która zachowała się przyczepiona

do muru.

Plac Châtelet. Kawiarnia Zelly's, gdzie porucznik i Saint-Georges mieli się spotkać ze mną o północy. Jak się zachowam, gdy podejda do mnie? Kiedy Khédive, Philibert i ja weszliśmy, tamci już się porozsiadali przy stolikach. Tłoczą się wokół nas. Który pierwszy uściśnie nam ręce. Obejmują, ściskają, potrząsają. Jedni zasypują nasze twarze pocałunkami, inni głaszczą nas po głowach, jeszcze inni pociągają przymilnie za klapy marynarek. Rozpoznaję Jeana-Farouka de Méthode, Violette Morris i Frau Sultanę. – Co słyhać?, pyta mnie Costachesco. Torujemy sobie drogę przez zbiegowisko, jakie się utworzyło. Baronowa Lydia ciągnie mnie do stolika, gdzie siedzą Rachid von Rosenheim, Pols de Helder, hrabia Baruzzi i Lionel de Zieff. – Trochę koniaku?, proponuje Pols de Helder. Prawie nie do zdobycia teraz w Paryżu, ćwierć litra warte jest sto tysięcy franków. Niech pan pije! Wciska mi szyjkę butelki między zęby. Z kolei Rosenheim wtyka mi w usta angielskiego papierosa i wymachuje platynową zapalniczką wysadzaną szmaragdami. Światło przygasa stopniowo, ich gesty i głosy rozplývają się w łagodnym półcieniu i równocześnie, ze zdumiewającą jasnością, ukazuje mi się twarz księżniczki Lamballe, po którą przybyli do więzienia de la Force strażnicy Gwardii Narodowej: „Proszę wstać, pani, czas iść do Abbaye”. Przedemną ich dzidy i wykrzywione twarze. Dlaczego nie zawołała: „NIECH ŻYJE NARÓD!”, tak jak jej kazano? Jeśli jeden z nich zrani mi czoło swoją dzidą: Zieff? Hayakawa? Rosenheim? Philibert? Khédive? Wystarczy ta jedna mała kropla krwi, żeby rekiny się rzuciły. Nie poruszać się. Wołać tyle razy, ile będą żądali: „NIECH ŻYJE NARÓD!”. Rozebrać się, jeśli tak trzeba. Wszystko, czego będą chcieli! Jeszcze minutę, panie kacie. Za każdą cenę. Rosenheim na nowo wciska mi angielskiego papierosa do ust. Fajka skazanego na śmierć? Prawdopodobnie egzekucja nie odbędzie się jeszcze tej nocy. Costachesco, Zieff, Helder i Baruzzi okazują mi jak największą uprzejmość. Troszczą się o moje zdrowie. Czy wystarczy mi kieszonkowego? Oczywiście. Fakt wydania porucznika i wszystkich członków jego siatki przyniesie mi setki tysięcy franków, dzięki którym kupię sobie kilka szali u Charveta i wigoniowy płaszcz na zimę. O ile w tym czasie nie zamkną moich rachunków. Nikczemnicy, wydaje się, mają zawsze haniebną śmierć. Lekarz mówił mi, że przed śmiercią każdy człowiek zamienia się w pozytywkę i że przez ułamek sekundy słyshi melodię

wyrażającą najlepiej to, czym było jego życie, jego charakter i aspiracje. Dla jednych będzie to walc przy dźwiękach kobzy, dla drugich marsz wojskowy. Ktoś inny zawodzi cygańską pieśń, która kończy się szlochem albo okrzykiem strachu. Dla CIEBIE, mój zuchu, będzie hałas wiadra na śmieci, które wyrzuca się bez skrpułów, nocą, na wyjąłowioną ziemię. I przed chwilą, kiedy przecinaliśmy ten plac, po drugiej stronie bulwaru Sébastopol pomyślałem: „To tutaj skończy się twoja przygoda”. Przypominam sobie drogę po łagodnym stoku, która zaprowadziła mnie aż do tego miejsca, jednego z najbardziej opustoszałych w Paryżu. Wszystko zaczyna się w Bois de Boulogne. Pamiętasz? Grasz w serso na trawnikach Pré Catelan. Mijają lata, idziesz aleją Henri-Martina i oto znajdujesz się na Trocadéro. Potem plac Etoile. Przed tobą aleja udekorowana po bokach roziskrzonymi latarniami. Wydaje ci się obrazem przyszłości: pełnej pięknych – jak to się mówi – obietnic. Upojenie zapiera ci dech w piersiach u progu tej królewskiej drogi, ale to chodzi tylko o aleję Champs-Élysées z jej międzynarodowymi barami, luksusowymi kokotami i Claridge’em, karawanserajem nawiedzanym przez ducha Stavisky’ego. Smutek Lido. Rozdzierający widok, jaki przedstawiają Fouquet’s i Colisée. Wszystko było zafałszowane z góry. Plac Concorde, nosisz buty z jaszczurki, krawat w białe groszki i masz mordkę żigolaka. Po okrążeniu dzielnicy Madeleine-Opera, całej równie podłej jak Champs-Élysées, kontynuujesz pod arkadami ulicy Rivoli swoją wędrówkę i swój – jak mówi lekarz – ROZ-KŁAD MO-RALNY. Continental, Meurice, Saint James i Albany, gdzie spełniam rolę szczura hotelowego. Bogata klientka wprowadza mnie niekiedy do swego pokoju. O świcie przeszukuję jej torebkę i kradnę kilka klejnotów. Dalej rumpelmayer, o zapachach zwiędłych ciał. Cioty, na które się napada nocą, by im gwizdnąć portfel. Ale nagle wizja staje się bardziej wyraźna: oto ja w ostatniej chwili, w brzuchu Paryża. Gdzie dokładnie przebiega granica? Wystarczy przejść ulicę du Louvre albo plac Palais-Royal. Zapuszczasz się w stronę Hal, przemierzając małe, cuchnące uliczki. Brzuch Paryża to dżungla znaczone pręgami wielobarwnych neonów. Dokoła ciebie poprzewracane skrzynki od jarzyn i cienie, które rozwożą olbrzymie ćwiartki bawołów. Kilka twarzy bezkrwistych i nadmiernie uszminkowanych ukazuje się na chwilę, potem znika. Od tej pory wszystko jest możliwe. Wykorzystają cię do najbardziej podłych zadań, zanim uregulują z tobą

rachunki. A jeśli ostatnim fortem, ostatnią podłością wymkniesz się całemu temu zbiorowisku handlarzy ryb i rzeźników skulonych w cieniu, umrzesz nieco dalej, z drugiej strony bulwaru Sébastopol, pośrodku tego placu. Ziemia wyjąłowiona. Tak to określił lekarz. Doszedłeś więc do końca swej wędrówki i nie możesz zawrócić. Za późno. Pociągi już nie kursują.

Nasze niedzielne spacerunki wzdłuż torów linii obwodowej, tej trasy kolejowej o zmienionym przeznaczeniu... Idąc wzdłuż niej, obchodziliśmy Paryż wokoło. Porte de Clignancourt. Bulwar Pereire. Porte Dauphine. Dalej, Javel... Dworce, które obsługiwały kolej, zamieniono na magazyny lub kawiarnie. Niektóre zostawiono nienaruszone i mogłem wierzyć, że lada chwila przeleci tędy pociąg, choć zegar dworcowy od pięćdziesięciu lat wskazuje tę samą godzinę. Miałem zawsze szczególny sentyment do dworca d'Orsay. Jakby można tam było jeszcze oczekiwać wielkich niebieskich pulmanów, które powiozą was do ziemi obiecanej. Kiedy nie nadchodzą, przecinam most Solférino, pogwizdując „jave”. Następnie wyjmuję z portfela fotografię doktora Marcela Petiota, zamyślonego, na ławie oskarżonych, z piętrzącymi się za nim stertami waliz: nadziei, chybionych projektów, i sędzia, wskazując na nie, pyta mnie: „Powiedz, co zrobiłeś ze swoją młodością?”, podczas kiedy adwokat (w tym wypadku moja matka, gdyż nikt nie zgodził się mnie bronić) próbuje przekonać jego i przysięgłych, że „przecież byłem chłopcem, który wiele obiecywał”, „chłopcem ambitnym”, jednym z tych chłopców, o jakich się mówi: „Będzie miał piękną przyszłość”. Na dowód, panie Sędzio, te walizy, z tyłu za nim, są w wyborowym gatunku. Z juchtowej skóry, panie Sędzio. – Co może mnie obchodzić, proszę pani, gatunek tych waliz, skoro one nigdy nie odjechały? I wszyscy skazują mnie na śmierć. Tego wieczoru musisz pójść wcześniej spać. Jutro dzień szczytu w burdelu. Nie zapomnij swoich szminek i pomadki do ust. Ucz się jeszcze raz przed lustrem: twoje przymrużenie oka powinno mieć miękkość aksamitu. Spotkasz wielu maniaków, którzy będą się domagali od ciebie najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy. Ci zboczeńcy są przerażający. Jeśli ich nie zadowolę, zlikwidują mnie. Dlaczego nie wołała: „NIECH ŻYJE NARÓD”? Ja będę to powtarzał tyle razy, ile zechcą. Jestem najbardziej podłym z kurw. – Niech pan pije, niechże pan pije, mówi Zieff błagalnym głosem. – Trochę muzyki?, proponuje Violette Morris. Khédive zwraca się do mnie

z uśmiechem: – Porucznik będzie tu za dziesięć minut. Powie mu pan „dzień dobry”, jak gdyby nigdy nic. – Sentymentalną piosenkę, prosi Frau Sultana. – SEN-TY-MENTAL-NA!, wrzeszczy baronowa Lydia. – Następnie będzie pan się starał wyciągnąć go z kawiarni. – *Negra noche*, poproszę, domaga się Frau Sultana. – W taki sposób, żebyśmy mogli łatwiej go schwytać. Następnie pójdziemy aresztować pozostałych, w ich mieszkaniach. – *Five Feet Two*, mizdzy się Frau Sultana. To piosenka, którą najbardziej lubię. – Piękny połów w perspektywie. Dziękuję panu za informacje, mój mały. – Właśnie że nie!, oświadcza Violette Morris. Ja chcę słuchać *Swing Trubadur!* Jeden z braci Chapochnikoff kręci korbą gramofonu. Płyta jest porysowana. Zdaje się, jakby głos śpiewającego miał się załamać w każdej chwili. Violette Morris wystukuje rytm, szepcząc słowa:

*Lecz twoja przyjaciółka w dalekiej podróży,
Biedny Swingu Trubadurze...*

Porucznik. Czyżby to było złudzenie wywołane moim śmiertelnym zmęczeniem? Bywały dni, kiedy słyszałem go mówiącego do mnie po imieniu. Topniała jego wyniosłość, a rysy twarzy łagodniały. Stała przede mną jedynie bardzo stara dama, która patrzyła na mnie z tkliwością.

*I zbierając wiosenne róże
W smutku cała bukiet wzięła...*

Ogarniało go znużenie i zaniepokojenie, jakby nagle zdał sobie sprawę, że nic dla mnie nie może zrobić. Powtarzał: „Twoje serce midinetki, midinetki, midinetki, midinetki...”. Z pewnością chciał powiedzieć, że nie byłem „złym drabem” (jedno z jego wyrażeń). Chciałem w takich chwilach podziękować mu za uprzejmość, jaką mi okazywał, on tak oschły, tak zawsze władczy, ale nie znajdowałem słów. Dopiero po chwili udawało mi się wydukać: „Moje serce zostało w Batignolles”, i życzyłem

sobie, żeby to zdanie odsłoniło mu moją prawdziwą naturę: chłopaka dość sfrustrowanego, sentymentalnego i całkiem niezłego.

Biedny Swing Trubadur

Biedny Swing Trubadur...

Zatrzymała się płyta. – Martini sec, młodzieńcze?, pyta Lionel de Zieff. Zbliżają się pozostali. – Nowa słabość?, zwraca się do mnie markiz Baruzzi. – Jest pan bardzo blady. – Może byśmy wpuścili trochę powietrza?, proponuje Rosenheim. Nie zauważyłem wielkiej fotografii Poli Negri za barem. Jej wargi nie poruszają się, gładka twarz o miękkich rysach tchnie spokojem. Przypatruje się całej tej scenie z obojętnością. Pożółkły papier czyni ją jeszcze bardziej odległą. Pola Negri nie może dla mnie nic zrobić.

Porucznik. Wszedł do kawiarni Zelly's w towarzystwie Saint-Georges'a, koło północy, jak było uzgodnione. Wszystko poszło bardzo szybko. Daję znak ręką. Nie śmiem spojrzeć im w oczy. Wyprowadzam ich za sobą z kawiarni. Khédive, Guari i Vital-Léca otaczają ich natychmiast, z rewolwerami w rękach. W tym momencie patrzę im prosto w oczy. Przypatrują mi się uważnie, najpierw z osłupieniem, potem z pewnego rodzaju drwiącą pogardą. W chwili kiedy Vital-Léca nakłada im kajdanki, wrywają się, biegną w kierunku bulwaru. Khédive oddaje trzy strzały. Padają na rogu placu i alei Victoria.

W ciągu następnej godziny zostają zaaresztowani:

Corvisart: aleja Bosquet 2;

Pernety: ulica de Vaugirard 172;

Jasmin: bulwar Pasteura 83;

Obligado: ulica Duroca 5;

Picpus: aleja Félix-Faure 17;

Marbeuf i Pelleport: aleja de Breteuil 28.

Za każdym razem dzwoniłem do drzwi i aby wzbudzić ich zaufanie, mówiłem im

swoje imię.

Oboje śpią. Coco Lacour zajmuje największy apartament. Esmeraldę umieściłem w błękitnym pokoju, który należał z pewnością do córki właścicieli. Opuścili oni Paryż w czerwcu „w wyniku rozwoju wypadków”. Powrócą, kiedy zostanie przywrócony dawny porządek, kto wie? może w następnym sezonie... i wypędzą nas ze swego prywatnego hotelu. Wyznam przed sądem, że wprowadziłem się do tej siedziby przez włamanie. Khédive, Philibert i inni staną przed sądem równocześnie ze mną. Świat odzyska swoje naturalne barwy, Paryż będzie znów się nazywał Miastem Światła, a ludzie na sali sądowej będą się przysłuchiwali, dłubiąc palcem w nosie, wyliczaniu naszych zbrodni: donosy, pobicia, kradzieże, morderstwa, wszelkiego rodzaju machinacje – sprawy, które w chwili, gdy zapisuję te linijki, są monetą obiegową. Kto zgodzi się przyjść, by świadczyć na moją korzyść? Twierdza Montrouge pewnego grudniowego poranka. Pluton egzekucyjny. I wszystkie okropności, jakie Madeleine Jacob zapisze na moje konto. (Nie czytaj tego, mamo). Jakkolwiek by było, moi wspólnicy zabiją mnie, zanim jeszcze Moralność, Sprawiedliwość, Ludzkość wyjdą znów na światło dzienne, aby mnie upokorzyć. Chciałbym pozostawić kilka wspomnień: przekazać potomności co najmniej imiona Coco Lacoura i Esmeraldy. Tej nocy czuwam nad nimi, ale jak długo jeszcze? Co stanie się z nimi beze mnie? Byli moimi jedynymi towarzyszami. Łagodni i cisi jak gazy. Łatwo ich zranić. Przypominam sobie, jak wyciąłem z czasopisma fotografię kota, którego dopiero co uratowano od utopienia. Ze zmoczoną sierścią i ociekający mułem. Na końcu sznura, który ścisnął mu szyję, był przywiązany kamień. Niczyje spojrzenie nie wydało mi się tak pełne wdzięczności jak jego. Coco Lacour i Esmeralda są podobni do niego. Zrozumcie mnie dobrze: nie jestem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami ani Ligi Praw Człowieka. Co więc robię? Wędruję przez opustoszałe miasto. Wieczorem, koło godziny dziewiątej, pogrąża się ono w ciemnościach, i Khédive, Philibert oraz wszyscy inni otaczają mnie kołem. Dni są białe i gorące. Muszę znaleźć oazę, żeby nie zdechnąć: moją miłość do Coco Lacoura i Esmeraldy. Przypuszczam, że sam Hitler odczuwał potrzebę odprężenia się, kiedy głaskał psa. OPIEKUJĘ SIĘ NIMI. Ktokolwiek chciałby zrobić im co złego, będzie miał ze mną do czynienia. Dotykam rewolweru, który dał mi Khédive.

Kieszenie mam napchane forszą. Noszę jedno z najpiękniejszych imion Francji (ukradłem je, ale to nie ma żadnego znaczenia w czasach, w jakich żyjemy). Ważę dziewięćdziesiąt osiem kilo na czczo. Aksamitne oczy. „Obiecujący” chłopiec. Ale kto obiecywał i co? Wszystkie dobre wróżki pochylały się nad moją kołyską. Z pewnością były pijane. Porywacie się na groźnego przeciwnika. A więc NIE DOTYKAJCIE ICH! Po raz pierwszy spotkałem oboje na stacji metra Grenelle i zrozumiałem, że wystarczyłby gest, podmuch, aby ich zniszczyć. Pytam sam siebie, jakim cudem znaleźli się tam, jeszcze żywi. Pomyślałem o tym kocie uratowanym od utopienia. Rudy ślepy olbrzym nazywał się Coco Lacour, biedna dziewczynka – albo biedna staruszka – Esmeralda. Na widok tych dwojga ogarnęło mnie uczucie litości. Oblała mnie gwałtowna fala gorąca. Potem, kiedy odpływała jak w burzliwej kipieli, opanowała mnie szaleńcza myśl: zepchnąć ich na szyny metra. Musiałem wbić sobie paznokcie w dłonie i naprężyć mięśnie. Kipiel wciągnęła mnie znowu, a rozbryzgiwanie fal było tak łagodne, że poddawałem się im z zamkniętymi oczami.

Każdej nocy uchylam drzwi do ich pokoju, najdelikatniej jak tylko można, i patrzę na nich pogrążonych we śnie. Ogarnia mnie taki sam szal jak za pierwszym razem: wyciągnąć pistolet z kieszeni i zabić ich. Przetnę ostatnią cumę i osiągnę ten biegun Północy, gdzie nie znajduje się już ulgi we łzach na złagodzenie swej samotności. Zamarzają na końcach rzęs. Jałowy smutek. Dwoje oczu szeroko otwartych pośród bezużytecznej roślinności. Skoro waham się jeszcze, czy nie pozbyć się tego ślepcy i tej biednej dziewczynki – czy tej biednej staruszki – czy zdradzę przynajmniej jego, porucznika? Przeciwno sobie ma swą odwagę, pewność siebie i pióropusz patosu, w jaki przystraja najmniej ze swych czynów. Jego spojrzenie, błękitne i prawe, irytuje mnie. Należy do kłopotliwej rasy bohaterów. Tymczasem nie mogę powstrzymać się od patrzenia na niego poprzez rysy bardzo starej, pełnej pobłażliwości damy. Nie biorę ludzi poważnie. Pewnego dnia skończę na tym, że będę się przypatrywał im wszystkim – i sobie samemu – z uwagą, jaką w tej chwili poświęcam Coco Lacourowi i Esmeraldzie. Najbardziej twardzi, najbardziej dumni ukażą mi się jako słabeusze, którymi należałoby się zaopiekować.

Rozgrywali w salonie partię madżonga, zanim poszli się położyć. Lampa rzucała łagodne światło na bibliotekę i naturalnej wielkości portret pana de Bel-Respiro.

Przestawiali powoli figurki. Esmeralda pochylała głowę, a Coco Lacour obgryzał palec wskazujący. Cisza zupełna wokół nas. Zamknąłem okiennice. Coco Lacour zasypia bardzo szybko. Esmeralda boi się ciemności tak bardzo, że zostawiam zawsze uchylone drzwi i światło w korytarzu. Przez jakiś kwadrans czytam jej głośno. Najczęściej dzieło, które znalazłem na nocnym stoliku w jej pokoju, kiedy brałem w posiadanie ten prywatny hotel: *Jak wychowywać nasze córki* pani Léon Daudet. „To przede wszystkim przed szafą na bieliznę dziewczynka zaczyna odczuwać poważny sentyment do domowych przedmiotów. Czyż wobec tego szafa na bieliznę nie jest najbardziej imponującą przedstawicielką bezpieczeństwa i stałości rodzinnej? Za jej masywnymi drzwiami widzi się ułożone sterty świeżych prześcieradeł, obrusów w desenie, ręczników równo poskładanych; nie ma według mnie niczego bardziej uspokajającego do oglądania jak piękna szafa na bieliznę...” Esmeralda zasnęła. Wystukują kilka tonów na pianinie w salonie. Opieram się o okno. Spokojny plac, jeden z wielu w XVI dzielnicy. Liście drzew muskają szybę. Chętnie bym uwierzył, że dom należy do mnie. Biblioteka, lampy o różowych abażurach i pianino stały mi się bliskie. Chciałbym pielęgnować rodzinne cnoty, jak radzi mi pani Léon Daudet, ale nie będę miał na to czasu.

Pewnego dnia powrócą właściciele. Co mnie najbardziej smuci, to to, że wypędzą Coco Lacoura i Esmeraldę. Nie rozczulam się nad sobą. Jedynymi uczuciami, jakie mnie ożywiają, są: Panika (z której powodu popełniam tysiąc nikczemności) i Litość dla bliźnich: chociaż przeraża mnie ich obłuda, mimo wszystko potrafią mnie wzruszyć. Czy spędzę zimę pośród tych maniaków? Źle wyglądam. Ta wieczna bieganina od porucznika do Khédive’a i od Khédive’a do porucznika jest wyczerpująca. Chciałbym koniecznie zadowolić jednych i drugich (żeby mnie oszczędzili), a ta podwójna gra wymaga odporności psychicznej, której nie mam. Więc napada mnie nagle chęć płaczu. Moja beztroska przechodzi w stan, który angielscy Żydzi nazywają *nervous breakdown*. Gubię się pośród labiryntu myśli i dochodzę do wniosku, że ci wszyscy ludzie, rozdzieleni na dwa przeciwstawne obozy, zmówili się potajemnie, żeby mnie zniszczyć. Khédive i porucznik są jedną i tą samą osobą, a ja sam jestem tylko przerażonym motylem latającym od jednej lampy do drugiej i za każdym razem opalającym sobie coraz bardziej skrzydła.

Esmeralda płacze. Pójdę ją pocieszyć. Jej koszmary trwają krótko i zaraz na nowo zasypia. Będę czekał na Khédive'a, Philiberta i innych, grając w madžonga. Po raz ostatni zrobię przegląd sytuacji. Z jednej strony bohaterowie „przyczajeni w cieniu”: porucznik i dzielni chłopcy z Saint-Cyru z jego sztabu. Z drugiej Khédive i gangsterzy z jego środowiska. I ja, przerzucany między obydwoma, z ambicjami, och, bardzo skromnymi: BARMAN w oberży w okolicach Paryża. Wielka brama wjazdowa, zwirowana aleja. Dokoła park i murowane ogrodzenie. Przy dobrej widoczności można by zobaczyć z okien trzeciego piętra snop światła z wieży Eiffla omiatający horyzont.

Barman. Można się przyzwyczaić. Czasami jest przykro. Zwłaszcza gdy ma się około dwudziestu lat i widziałoby się siebie wybranego przez bardziej atrakcyjny los. Ja wcale nie. O co chodzi? Przygotowywać koktajle. W sobotę wieczór zamówienia następują po sobie w tempie przyspieszonym. Gin fizz. Alexandra. Dame rose. Irish coffee. Skórka cytrynowa. Dwa poncze martynikańskie. Klienci, coraz to liczniejsi, obsiadają bar, za którym mieszam napoje w kolorach tęczy. Nie dać im czekać. Boję się, żeby nie rzucili się na mnie przy najmniejszym wytchnieniu. Jeśli napełniam szybko ich szklanki, to po to, żeby ich trzymać na dystans. Bardzo nie lubię kontaktów z ludźmi. Porto flip? Wszystko, co zechcą. Nalewam alkohole. Ten sposób czy inny, byleby uchronić się od swych bliźnich i, dlaczegoż by nie?, pozbyć się ich. Curaçao? Marie brizard? Krew napływa im do twarzy. Zataczają się i za chwilę zwałą się pijani jak bele. Oparty łokciami o bar będę patrzył na nich, jak śpią. Nie będą mi już mogli zrobić nic złego. Nareszcie spokój. Mój oddech wciąż krótki. Za moimi plecami fotografie Henriego Garata, Freda Bretonnela i kilku innych filmowych gwiazdorów sprzed wojny, którym czas odbarwił uśmiechy. W zasięgu ręki mam numer „Illustration” poświęcony statkowi Normandii. Grillroom, kabiny rufowe. Sala zabaw dziecięcych. Palarnia. Wielki Salon. Bankiet wydany 25 maja na cel rozwoju twórczości o morzu, któremu przewodniczyła pani Flandin. To wszystko zaprzepaszczone. Jestem przyzwyczajony. Znajdowałem się już na pokładzie statku Titanic, kiedy się rozbił. Północ. Słucham starych piosenek Charles'a Treneta:

*... Dobranoc
Piękna pani...*

Płyta jest porysowana, ale nie męczy mnie jej słuchanie. Czasem kładę inną na gramofon:

*Wszystko skończone, nie będzie spacerów,
Nie będzie już wiosny, Swingu Trubadurze...*

Oberża, taki batyskaf, osiada pośrodku zatopionego miasta. Atlantyda? Topielcy ślizgają się po bulwarze Haussmanna.

*Twój los,
Swingu Trubadurze...*

W Fouquet's obsiadają stoliki. Większość straciła jakikolwiek ludzki wygląd. Zaledwie można odróżnić ich trzewia pod strzępami pstrokatych ubiorów. Dworzec Saint-Lazare, w poczekalni zmarłaki dryfują w zwartych grupach i widzę ich, jak wymykają się przez drzwi podmiejskich pociągów. Ulica Amsterdam, wychodzą z kabaretu Monseigneur, zielonkawi, ale w o wiele lepszym stanie niż ci poprzedni. Ciągnę dalej swoją wędrówkę. Elysée-Montmartre. Magic-City. Luna-Park. Rialto-Dancing. Dziesięć tysięcy, sto tysięcy topielców o ruchach pełnych nieskończonej niemocy, jak postaci z filmu, który idzie w zwolnionym tempie. Cisza. Ocierają się parę razy lekko o batyskaf, a przed chwilą ich twarze przykleiły się do iluminatora: wyblakłe oczy, półotwarte usta:

... Swingu Trubadurze...

Nie potrafię wypłynąć znów na powierzchnię. Powietrze się rozrzedza, światło baru chwieje się i znajduję się znów na dworcu Austerlitz w lecie. Ludzie wyjeżdżają na południe. Popychają się przy okienkach linii dalekobieżnych i wsiadają do wagonów jadących w kierunku Hendaye. Przetną granicę hiszpańską. Nigdy już ich się nie zobaczy. Kilkoro z nich spaceruje jeszcze po peronach, ale ulotnią się za chwilę. Powstrzymać ich? Idę w kierunku zachodnim Paryża. Châtelet. Palais-Royal. Plac Concorde. Niebo jest zbyt błękitne, liście zanadto kruche. Ogrody Champs-Elysées przypominają cieplarnię.

Aleja Klébera. Skręcam w lewo. Skwer Cimarosa. *Spokojny plac, jakich wiele w XVI dzielnicy*. Nie korzysta się już z altanki koncertowej, a posąg Toussaint Louverture'a przeżera szary trąd. Prywatny hotel 3 bis należał kiedyś do państwa de Bel-Respiro. Wyprawili tam 13 maja 1897 nowoperski bal, w którego czasie syn pana de Bel-Respiro przyjmował współbiesiadników w stroju radży. Ten młody człowiek zginął nazajutrz w płomieniach pożaru Bazaru Miłosierdzia. Pani de Bel-Respiro lubiła muzykę, a szczególnie *Le Rondel de l'Adieu* Isidore de Lara. Pan de Bel-Respiro rozgrzebywał wspomnienia straconych chwil. Muszę koniecznie podać te szczegóły, ponieważ wszyscy o nich zapomnieli.

Sierpień w Paryżu wywołuje przyływ wspomnień. Słońce, puste aleje, szelest drzew kasztanowych... Siadam na ławce i przyglądam się fasadzie z cegieł i kamieni. Okiennice od dawna są zamknięte. Na trzecim piętrze znajdowały się pokoje Coco Lacoura i Esmeraldy. Ja zajmowałem mansardę po lewej stronie. W salonie autoportret naturalnej wielkości pana de Bel-Respiro w mundurze oficera spahisów. Długi czas wpatrywałem się w jego twarz i pierś pokrytą orderami. Legia Honorowa. Krzyż Grobu Świętego. Daniła z Czarnogóry. Krzyż Świętego Jerzego z Rusi. Wieży i szpady z Portugalii. Skorzystałem z nieobecności tego człowieka, żeby się wprowadzić do jego mieszkania. Skończy się koszmar, pan de Bel-Respiro powróci i nas wypędzi, mówiłem do siebie, podczas gdy torturowano tego nieszczęsnego faceta i kiedy swoją krwią plamił dywan z Savonnerie. Wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy, pod 3 bis, w czasie gdy tu mieszkałem. Niekiedy nocą budziły mnie okrzyki bólu i bieganina na parterze. Głos Khédive'a. Potem Philiberta. Patrzyłem w okno. Popychano dwa lub trzy cienie do samochodów, które stały przed hotelem. Trzaskały

drzwiczki. Odgłos motoru coraz bardziej odległy. Cisza. Powrót do snu niemożliwy. Myślałem o synu pana de Bel-Respiro i jego strasznej śmierci. Nie wychowywano go z pewnością z myślą o takim końcu. Tak samo wprawiono by w zdumienie księżniczkę Lamballe, opisując kilka lat wcześniej jej zamordowanie. A ja? Kto mógłby przewidzieć, że stanę się współnikiem bandy siepaczy? Wystarczyło jednak zapalić lampę i zejść do salonu, aby rzeczy z powrotem przybrały swój łagodny wygląd. Autoportret pana de Bel-Respiro wciąż się tam znajdował. Perfumy z Arabii, jakich używała pani de Bel-Respiro, przeniknęły w ściany i zmuszały was do odwrócenia głowy. Pani domu uśmiechała się. Byłem jej synem, porucznikiem statku Maxime'em de Bel-Respiro, na urlopie, i brałem udział w jednym z tych wieczorów, które gromadziły pod 3 bis artystów i dyplomatów: Idę Rubinstein, Gastona Calmette'a, Frédérica de Madrazzo, Louis'a Barthou, Gauthiera-Villarsa, Armande Cassive, Bouffe'a de Saint-Blaise'a, Franka Le Harivela, Joségo de Stradę, Mery Laurent, pannę Mylo d'Arcille. Moja matka grała na pianinie *Le Rondel de l'Adieu*. Nagle zauważyłem na dywanie z Savonnerie kilka małych plam krwi. Przewrócono jeden z foteli Ludwika XV: facet, który dopiero co krzyczał, z pewnością szamotał się, kiedy garbowano mu skórę. Na podłodze przy konsoli jeden but, krawat, wieczne pióro. Nie ma sensu w tej sytuacji wspominać dłużej czarującego zebrania pod 3 bis. Pani de Bel-Respiro opuściła pokój. Usiłowałem zatrzymać współbiesiadników. José de Strada, który recytował fragment swoich *Abeilles d'or*, urwał osłupiały. Panna Mylo d'Arcille zemdlą. Mieli zamordować Barthou. A także Calmette'a. Bouffe de Saint-Blaise i Gautier-Villars ulotnili się. Frank Le Harivel i Madrazzo byli już tylko dwoma oszalałymi motylami. Ida Rubinstein, Armande Cassive i Mery Laurent stawały się przezroczyście. Znalazłem się znów sam przed autoportretem pana de Bel-Respiro. Miałem dwadzieścia lat.

Na dworze kompletny blekaut. A gdyby Khédive i Philibert powrócili swymi samochodami? Stanowczo nie nadawałem się do życia w tak ponurej epoce. Żeby się na nowo uspokoić, aż do świtu przetrząsałem wszystkie szafy w całym domu. Pan de Bel-Respiro, wyjeżdżając, zostawił czerwony zeszyt, w którym zapisywał swoje wspomnienia. Przeczytałem je wiele razy w czasie tych bezsennych nocy. „Frank Le Harivel mieszkał przy ulicy Lincolna 8. Zapomniano tego wybornego kawalerzystę,

którego sylwetka była niegdyś znana spacerowiczom alei Acacias...” „Panna Mylo d’Arcille, czarująca młoda osóbką, którą może wspominają jeszcze starzy bywalcy naszych starych music-halli...” „José de Strada, »pustelnik z Muette«, czy był nieznanym geniuszem? Oto pytanie, które nikogo już nie interesuje”. „Tutaj umarła samotnie i w nędzy Armande Cassive...” Miał ten człowiek gust do spraw przemijających. „Kto przypomina sobie jeszcze wspaniałego dżokeja Aleca Cartera? a Ritę del Erido?” Życie jest niesprawiedliwe.

W szufladach dwie, może trzy pożółkłe fotografie, stare listy. Bukiet wyschniętych kwiatów na sekretarce pani de Bel-Respiro. W walizce, której nie zabrała, dużo sukien od Wortha. Którejś nocy ubrałem się w najpiękniejszą: z błękitnej jedwabnej tafty ze zjawiskowym tiulem i girlandą z różowych powojów. Nie znajduję najmniejszego upodobania w przebieraniu się, ale w tamtej chwili moja sytuacja wydawała mi się tak żałosna, a moja samotność tak wielka, że chciałem dodać sobie ducha, udając skrajną frywolność. Przed lustrem weneckim w salonie (włożyłem na głowę kapelusz Lamballe, na którym mieszały się kwiaty, pióra i koronki) miałem naprawdę ochotę roześmiać się. Mordercy korzystali z zaciemnienia. Będzie pan udawał, że jest pan narzędziem w ich ręku, mówił mi porucznik, lecz wiedział dobrze, iż pewnego dnia stanę się ich współnikiem. Więc dlaczego mnie opuścił? Nie zostawia się dziecka samego w ciemnościach. Z początku boi się ich, potem przyzwyczajają się i na koniec zapomina ostatecznie o słońcu. Paryż nie będzie się już nigdy nazywał Miastem Światła, miałem na sobie suknię i kapelusz, jakich mogłaby mi pozazdrościć Emilienne d’Alençon, i myślałem o miękkości i nonszalancji, którymi kierowałem się w życiu. Dobro, Sprawiedliwość, Szczęście, Wolność, Postęp wymagały o wiele więcej wysiłku i umysłów bardziej utopijnych niż mój, nieprawda? Snując te myśli, zacząłem się malować. Używałem szminek pani de Bel-Respiro, kholu i serkisu, tego różu, który – zdaje się – przywracał skórze sułtanek aksamit młodości. Sumienną zawodową posunąłem aż do rozmieszczenia na swej twarzy pieprzyków w kształcie serca, księżycy albo komety. A potem, żeby zabić czas, czekałem aż do świtu na apokalipsę.

Godzina piąta po południu. Słońce rzuca na plac wielkie płachty ciszy. Myślałem, że zobaczę czyjś cień za jedynym oknem, w którym okiennice nie były zamknięte. Kto

mieszka jeszcze pod 3 bis? Przyciskam dzwonek. Ktoś schodzi po schodach. Uchylają się drzwi. Stara kobieta. Pyta, czego chcę. Zwiedzić dom. Odpowiada oschłym tonem, że to niemożliwe w czasie nieobecności właścicieli. Potem zamyka drzwi. Obserwuje mnie teraz, z czołem przyciśniętym do szyby.

Aleja Henri-Martina. Pierwsze leśne drogi Bois de Boulogne. Idźmy naprzód aż do jeziora Inférieur. Chodziłem często na wyspę w towarzystwie Coco Lacoura i Esmeraldy. Od tamtych czasów realizowałem swoją ideę: obserwować z daleka – najdalej jak tylko możliwe – ludzi, ich niepokój, ich szalone kombinacje. Wyspa ze swymi trawnikami i chińskim kioskiem wydawała mi się miejscem odpowiednim. Jeszcze kilka kroków. Pré Catelan. Przybyliśmy tutaj tej nocy, kiedy wydałem wszystkich członków siatki. A może było to przy Grande Cascade? Orkiestra grała walca kreolskiego. Starszy pan i starsza pani przy stoliku sąsiadującym z naszym... Esmeralda piła grenadinę, Coco Lacour palił cygaro... Za chwilę Khédive i Philibert będą mnie zadrećzali pytaniami. Wirujący krąg wokół mnie, coraz szybszy, coraz bardziej hałaśliwy i w końcu ustąpię, żeby mnie zostawili w spokoju. Na razie korzystałem z minut wytchnienia. On się uśmiechał. Ona puszczała bańki słomką... Znów widzę ich jak na dagerotypie. Czas minął. Gdybym nie zapisał imion: Coco Lacour, Esmeralda, nie byłoby żadnego śladu ich pobytu na tym świecie.

Trochę dalej, w kierunku zachodnim, Grande Cascade. Nie przechodziliśmy nigdy poza tę granicę: warty strzegły mostu Suresnes. To chyba zły sen. Wszystko jest teraz tak spokojne, wzdłuż alei nad brzegiem wody. Z szalupy ktoś mnie pozdrowił, machając ręką... Przypominam sobie swój smutek, kiedy zapuściliśmy się aż tutaj. Niemożliwe przedostać się przez Sekwanę. Trzeba było zawrócić aż do środka Bois. Zrozumiałem, że byliśmy obiektem polowania z nagonką i że w końcu wypłoszyliby nas. Pociągi nie chodziły. Szkoda. Miałem ochotę odczepić się od nich raz na zawsze. Dojechać do Lozanny, w neutralnym kraju. Spacerujemy, Coco Lacour, Esmeralda i ja, nad brzegiem jeziora Lemana. W Lozannie niczego się już nie obawiamy. Jest koniec pięknego letniego popołudnia, jak dzisiaj. Bulwar de la Seine. Aleja Neuilly. Porte Maillot. Po opuszczeniu Bois zatrzymywaliśmy się niekiedy w lunaparku. Coco Lacour lubił grę w kule i galerię krzywych lusterek. Wsiadaliśmy do wehikułu w karuzeli Sirocco, która obracała się coraz to szybciej. Śmiechy, muzyka. Strzelnica

z napisem ze świetlnych liter: „MORDERSTWO KSIĘŻNICZKI LAMBALLE”. Widać tam było leżącą kobietę. Nad łóżkiem czerwona tarcza, do której amatorzy usiłowali wcelować strzałami z rewolweru. Za każdym razem kiedy trafili w środek tarczy, łóżko wywracało się i kobieta spadała z krzykiem. Inne krwawe atrakcje. To wszystko nie było wcale na nasz wiek i baliśmy się jak troje dzieci opuszczonych pośrodku piekielnego święta. Z takiego szaleństwa, zgiełku, gwałtu cóż pozostało? Opustoszały plac w obramieniu bulwaru Gouvion-Saint-Cyr. Znam tę dzielnicę. Mieszkalem tu niegdyś. Na placu Acacias. Pokój na szóstym piętrze. W tamtym okresie wszystko szło ku lepszemu: miałem osiemnaście lat i pobierałem, dzięki fałszywym papierom, rentę z marynarki. Nikt prawdopodobnie nie życzył mi źle. Bardzo mało przyjaznych kontaktów: matka, kilka psów, dwóch lub trzech starców i Lili Marlene. Popołudnia spędzane na czytaniu albo na spacerach. Dziwiła mnie porywczność ludzi w moim wieku. Ci chłopcy biegli naprzeciw życiu. Z błyszczącymi oczami. Mówiłem sobie, że lepiej nie rzucać się nikomu w oczy. Jak największa skromność. Ubrania w kolorach nijakich. Taki był mój pogląd. Plac Pereire. Wieczorem, w ciepłej porze roku, siadałem na tarasie Royal Villiers. Ktoś z sąsiedniego stolika uśmiechnął się do mnie. Papierosa? Podał mi paczkę khédives'ów i nawiązaliśmy rozmowę. Prowadził biuro prywatnej policji, wraz ze swym przyjacielem. Obaj zaproponowali mi przystąpienie do ich agencji. Spodobало im się moje prostoduszne spojrzenie i maniery dobrze ułożonego młodzieńca. Zajmowałem się śledzeniem. Następnie przydzielili mi pracę bardziej poważną: wywiady, dochodzenia wszelkiego rodzaju, poufne misje. Miałem do swojej wyłącznej dyspozycji biuro w siedzibie agencji, przy alei Niel 177. Moi chlebodawcy nie przedstawiali sobą nic godnego szacunku: Henri Normand, przezywany „Khédive” (z powodu papierosów, które palił), był starym recydywistą; Pierre Philibert to zdymisjonowany główny inspektor. Zauważyłem, że obarczali mnie zadaniami „niezbyt zgodnymi z moralnością”. Jednak ani przez chwilę nie pomyślałem o porzuceniu tego zajęcia. W biurze przy alei Niel uświadomiłem sobie swoją odpowiedzialność: na pierwszym miejscu zapewnić dobrobyt materialny mamie, która była zupełnie bez grosza. Żałowałem, że aż dotąd zaniedbywałem swoją rolę jedyne go żywiciela rodziny, ale teraz, gdy pracowałem i otrzymywałem grubą forszę, byłem

synem bez zarzutu.

Aleja Wagram. Plac Ternes. Po lewej piwiarnia Lorraine, gdzie wyznaczyłem mu spotkanie. Padł ofiarą szantażu i liczył na naszą agencję, że go wyciągnie z tej sytuacji. Oczy krótkowidza. Ręce mu się trzęsły. Zapytał mnie, bełkocząc, czy mam „papiery”. Odpowiedziałem bardzo miłym głosem, że tak, ale że musi mi dać dwadzieścia tysięcy franków. Gotówką. Potem się zobaczy. Nazajutrz znaleźliśmy się w tym samym miejscu. Podał mi kopertę. W środku żądana suma. Zamiast oddać mu „papiery”, podniosłem się i dałem nogę. Człowiek waha się przed użyciem takich metod, a potem się przyzwyczajają. Moi chlebodawcy dawali mi dziesięcioprocentową prowizję, kiedy załatwiałem tego rodzaju sprawy. Wieczorem przynosiłem mamie naręcza orchidei. Niepokoiła się, widząc mnie tak bogatym. Może odgadywała, że marnowałem swoją młodość za kilka banknotów. Nigdy mnie o to nie pytała. *Tak szybko płynie czas,*

i lata uciekają.

Pewnego dnia człowiek staje się dorosłym chłopcem...

Wolałbym poświęcić się sprawie bardziej szlachetnej niż ta pseudoagencja prywatnej policji. Podobałaby mi się medycyna, ale rany, widok krwi przyprawiają mnie o mdłości. I przeciwnie, znoszę bardzo dobrze skrzywienia moralne. Z natury nieufny, mam zwyczaj przyglądania się ludziom i sprawom od ich złej strony, żeby nie dać się zaskoczyć. Czułem się więc doskonale przy alei Niel, gdzie mówiono wyłącznie o szantażach, sprzeniewierzeniach, kradzieżach, oszustwach, wszelkiego rodzaju interesach i gdzie przyjmowaliśmy klientów, którzy należeli do plugawej odmiany ludzkiego gatunku. (Co się tyczy tego ostatniego, i moi szefowie nie odznaczali się niczym, czego można by im zazdrościć). Jedyne pozytywne: zarabiałem, jak już mówiłem, grubą forszę. To dla mnie ważne. Właśnie w banku miłosierdzia przy ulicy Pierre-Charrona (chodziliśmy tam często, matka i ja. Odmawiano nam przyjęcia naszych fałszywych klejnotów) zdecydowałem raz na zawsze, że mi bieda nadojadła. Ktoś pomyśli, że nie mam ideałów. Na początku byłem

pełen świeżych uczuć. To się zatracą po drodze. Plac Etoile. Godzina dziewiąta wieczór. Szpalery latarni na Champs-Élysées lśnią jak dawniej. Nie spełniły swych obietnic. Ta aleja, która z daleka wydaje się tak wspaniała, jest jednym z najpodlejszych miejsc w Paryżu. Claridge, Fouquet's, Hungaria, Lido, Embassy, Butterfly... na każdym z tych etapów spotykałem nowych ludzi: Costachesco, baron de Lussatz, Odicharvi, Hayakawa, Lionel de Zieff, Pils de Helder... Niebieskie ptaki, osobnicy ciągnący zyski ze skrobanek, waluciarze, plugawi dziennikarze, adwokaci i pokątni księgowi, którzy krążyli wokół Khédive'a i Monsieur Philiberta. Do tego przyłączał się batalion dam z półświatka, tancerek określonego rodzaju, morfinistek... Frau Sultana, Simone Bouquereau, baronowa Lydia Stahl, Violette Morris, Magda d'Andurian... Moi dwaj szefowie wprowadzili mnie do tego podejrzanego światka. Champs-Élysées. Tak nazywano miejsce pobytu czcigodnych i bohaterskich cieni. Pytam się więc, dlaczego aleja, na której się znajduję, nosi tę nazwę. Widzę tu cienie, ale należą one do Monsieur Philiberta, Khédive'a i ich kompanów. Właśnie wychodzą z Claridge, trzymając się pod rękę, Joanovici i hrabia Cagliostro. Mają białe garnitury i platynowe sygnety. Nieśmiały młody człowiek, który przecina ulicę Lord-Byrona, nazywa się Eugène Weidmann. Przed Pam-Pamem nieruchomo tkwi Thérèse de Païva, najpiękniejsza kurwa drugiego cesarstwa. Na rogu ulicy Marbeuf doktor Petiot uśmiechnął się do mnie. Taras Colisée: kilku handlarzy czarnego rynku sący szampana. Wśród nich hrabia Baruzzi, bracia Chapochnikoff, Rachid von Rosenheim, Jean-Farouk de Méthode, Otto da Silva, tylu innych... Jeżeli dotrę do Rond-Point, może wymknę się tym widmom. Szybko. Cisza i liście drzew w ogrodzie Champs-Élysées. Nieraz zasiedziałem się tu dłużej. Po zwiedzeniu w ciągu całego popołudnia barów w alei z pobudek zawodowych (spotkania w sprawach „interesów” z osobami wymienionymi wyżej) przychodziłem do tego ogrodu, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Siadałem na ławce, zmordowany. Kieszenie pełne banknotów. Dwadzieścia tysięcy. Czasami sto tysięcy franków.

Nasza agencja była – jeśli nie uznawana – to przynajmniej tolerowana przez prefekturę policji: dostarczaliśmy im informacji, których od nas żądali. Wyłudzałyśmy zresztą pieniądze przez wymuszenie od osób wyżej wymienionych. Wierzyli, że w ten sposób zapewnią sobie nasze milczenie i naszą protekcję, wiedząc, że Monsieur

Philibert utrzymuje stałe kontakty ze swymi dawnymi kolegami, inspektorami: Rothé'em, Davidem, Jalbym, Jurgensem, Santonim, Permillieux, Sadowskym, François i Detmarem. Co do mnie, to jednym z moich zadań było właśnie zgarnianie pieniędzy z takich nieuczciwych praktyk. Dwadzieścia tysięcy. Niekiedy sto tysięcy franków. Dzień był ciężki do wytrzymania. Czcza gadanina w nieskończoność. Przyglądałem się ich twarzom: oliwkowe, szare, mordy z antropometrii. Niektórzy okazywali się krnąbrni i musiałem – ja, tak nieśmiały, tak sentymentalny z natury – podnosić głos, oznajmiać im, że pójdę natychmiast na bulwar des Orfèvres, jeżeli nie zapłacą. Mówiłem im o małych fiszkach, które moi szefowie polecili mi utrzymywać w porządku i na których były wymienione nazwiska ich wszystkich oraz ich *curriculum vitae*. Nie nazbyt wspaniałe były te małe fiszki. Wyjmowali portfele, traktując mnie jako „kapusia”. To określenie sprawiało mi przykrość.

Znalazłem się sam na ławce. Istnieją miejsca, które pobudzają do rozmyślań. Na przykład skwery, owe księstwa zagubione wśród Paryża, cherlawe oazy pośrodku wrzawy i zatwardziałości ludzkiej. Tuileries. Luxembourg. Bois de Boulogne. Nigdy jednak nie rozmyślałem tyle, co w ogrodzie Champs-Élysées. Jaka była właściwie moja funkcja społeczna? Szantażysta? Konfident policji? Liczyłem banknoty i pobierałem z góry swoje dziesięć procent. Szedłem do Lachaume'a zamówić cały krzak czerwonych róż. Wybrać dwa lub trzy pierścionki u Ostertaga. Potem u Pigueta, Lelonga i Molyneux kupić z pięćdziesiąt sukien. To wszystko dla Mamy. Szantażysta, nicpoń, kapuś, szpicel, może morderca, ale syn wzorowy. To była moja jedyna pociecha. Zapadał wieczór. Dzieci opuszczały ogród po ostatnim obrocie karuzeli. Latarnie na Champs-Élysées zapalały się jak za jednym pociągnięciem. Lepiej było – mówiłem sobie – zostać na placu Acacias. Unikać starannie skrzyżowań i bulwarów z powodu hałasu, niepożądanych spotkań. Co za dziwaczny miałem pomysł, żeby usiąść na tarasie Royal Villiers na placu Pereire, ja tak powściągliwy, tak ostrożny, pragnący za wszelką cenę, żeby o mnie zapomniano. Kiedyś trzeba jednak zadebiutować w życiu. Nie można się od tego wymigać. W końcu przyśle wam ono werbujących sierżantów: w tym wypadku Khédive'a i Monsieur Philiberta. W inny wieczór zapewne trafiłbym na osoby bardziej godne szacunku, które zaproponowałyby mi przemysł tekstylny albo literaturę. Nie czując żadnego

szczególnego powołania, oczekiwałem od starszych od siebie, żeby mi wybrali zajęcie. Ich sprawą było, w jakiej postaci woleli mnie widzieć. Zostawiałem im inicjatywę. Skaut? Kwaciarczyk? Tenista? Nie: Urzędnik pseudoagencji policji. Szantażysta, szpicel, opryszek. Zdziwiło mnie to bądź co bądź. Nie posiadałem właściwości, jakich wymagają takie prace: złośliwości, braku skrupułów, upodobania do hulaszczego trybu życia. Zabrałem się do tej roboty odważnie, jak inni przygotowują swoje świadectwo zawodowe kotlarza. Co jest najciekawsze w wypadku chłopców mojego pokroju: mogą równie dobrze skończyć na Pantheonie, co na cmentarzu Thiais otoczonym czworobokiem żołnierzy. Robi się z nich bohaterów. Albo łajdaków. Nie docenia się faktu, że zostali wplątani w brudną historię wbrew sobie. To, co się liczyło dla nich, to: mieć kolekcję znaczków pocztowych i móc pozostać w spokoju na placu Acacias, aby oddychać swobodnie.

Tymczasem schodziłem na psy. Moja bierność, zbyt mało entuzjazmu, jaki okazywałem na progu życia, czyniły mnie tym bardziej podatnym na wpływy Khedive'a i Monsieur Philiberta. Powtarzałem słowa pewnego doktora, sąsiada z mojego piętra na placu Acacias. „Począwszy od dwudziestego roku życia, mówił, zaczyna się gnić. Coraz to mniej komórek nerwowych, chłopcze”. Zapisałem tę uwagę w notatniku, ponieważ zawsze trzeba korzystać z doświadczenia starszych. Trafnie to określił, zdałem sobie z tego sprawę teraz. Moje interesy handlowe i podejrzani osobnicy, o których się ocierałem – to sprawiło, że utraciłem swoją różaną cerę. Przyszłość? Bieg, na którego końcu miałem odkorkować na jałowej ziemi. Gilotyna, ku której mnie wleczono, nie pozwalając złapać tchu. Ktoś szeptał mi do ucha: zostanie ci z życia jedynie ten wicher, któremu pozwoliłeś się porwać... cygańska muzyka coraz szybsza, żeby zagłuszyć moje krzyki. Tego wieczoru powietrze jest bardzo łagodne. Tak jak niegdyś, o tej samej godzinie, osły z głównej alei rozchodzą się do swoich stajni. Musiały przez cały dzień wozić dzieci. Znikają po stronie alei Gabriela. Nic się nigdy nie wie o ich troskach. Taka powściągliwość imponowała mi. Kiedy patrzyłem, jak przechodzą obok, odnajdywałem spokój, zobojetnienie. Starłem się uporządkować swoje myśli. Były nijakie i wszystkie straszliwie pospolite. Nie interesują mnie ideały. Zanadto jestem na to wrażliwy. Za leniwy. Po kilku minutach wysiłku dochodziłem zawsze do tego samego wniosku: umrę pewnego dnia. Coraz

mniej komórek nerwowych. Długi proces gnicia. Lekarz mnie uprzedził. Muszę dodać, że ta praca wywoływała mój ponury zachwyty: konfident policji i szantażysta w wieku dwudziestu lat, to niezłe przesłania horyzont. W mieszkaniu przy alei Niel 177 unosił się w powietrzu szczególny zapach, jaki wydzielają podstarzałe meble i tapety. Nie docierało tu naturalne światło. Za biurkiem drewniane szafki, gdzie układałem karty naszych „klientów”. Oznaczałem je nazwami trujących roślin: czernidłak pospolity, belladonna, borowik szatański, lulek czarny, wieruszka sinawa... W zetknięciu z nimi odwapniałem się. Duszny zapach alei Niel przesiąknął moje ubrania. Uległem zakażeniu. Ta choroba? Przyspieszony proces starzenia się, rozkład fizyczny i moralny, jak to przewidział doktor. A przecież nie lubię chorobliwych sytuacji.

Mała wioska

Stara dzwonnica

zaspokajałyby moje ambicje. Niestety, znajdowałem się w mieście, w rodzaju ogromnego lunaparku, gdzie Khédive i Monsieur Philibert przerzucali mnie od stoiska strzelnicy w rosyjskie góry, od Grand Guignolu do pojazdów „Sirocco”. W końcu wyciągnąłem się na ławce. Nie nadawałem się do tego wszystkiego. Nigdy o nic nikogo nie prosiłem. Sami przyszli po mnie.

Jeszcze kilka kroków. Na lewo teatr Ambassadeures. Wystawiają tam *La Ronde de nuit*, dawno zapomnianą operetkę. Nie ma z pewnością wielu ludzi na sali. Starsza dama, starszy pan, dwóch lub trzech turystów angielskich. Idę wzdłuż trawnika, ostatniego niskopiennego lasku. Plac Concorde. Reflektory kłuły mnie w oczy. Stałem nieruchomo, wstrzymując oddech. Nade mną konie z Marly stawały dęba i ze wszystkich sił próbowały uwolnić się od zaborczości ludzi. Chciałyby rzucić się galopem poprzez plac. Rozległa płaszczyna, jedyne miejsce w Paryżu, gdzie odczuwa się upojenie wobec ogromu przestrzeni. Pejzaż kamieni i świateł. Tam, w dole, od strony Tuileries, ocean. Znajdowałem się na pokładzie rufowym statku, który płynął w kierunku północno-zachodnim, unosząc ze sobą Madeleine, operę,

pałac Berlitz, kościół Trinité. Tonął z minuty na minutę. Jutro będziemy odpoczywali na głębokości pięciu tysięcy metrów. Nie obawiałem się już swoich współtowarzyszy z pokładu statku. Grymasu ust barona de Lussatz; okrutnego spojrzenia Odicharwiego; chytryści braci Chapochnikoff; Frau Sultany za pomocą rzemyka zaciskającej żyłę lewego przedramienia i wstrzykującej sobie heroinę; Zieffa, jego wulgarności, jego złotego chronometru, tłustych rąk udekorowanych pierścieniami; Ivanoffa i jego seansów paneurytmii seksualno-boskiej; Costachesca i Jeana-Farouka de Méthode, Rachida von Rosenheima mówiących o swych oszukańczych bankructwach; i kohorty gangsterów, których Khédive werbował w charakterze ludzi czynu: Armanda le Fou, Jo Reocreux, Tony'ego Bretona, Vital-Léki, Roberta le Pâle'a, Gouariego, Danosa, Codéba... Wkrótce wszystkie te tajemnicze osobistości miały się stać ofiarą ośmiornic, rekinów i muren. Podzielę ich los. Z wielką ochotą. Objawiło mi się to bardzo wyraźnie pewnej nocy, kiedy przecinałem plac Concorde z rozkrzyżowanymi ramionami. Mój cień kładł się aż do wylotu ulicy Royale, lewa ręka dosięgała ogrodu Champs-Elysées, prawa – ulicy Saint-Florentin. Mógłbym wspomnieć Jezusa Chrystusa, ale myślałem o Judaszu Iszkariocie. Wyparto się go. Trzeba wiele pokory i odwagi, aby wziąć na siebie całą hańbę ludzkości. Za nią umrzeć. Sam. Jak ktoś wielki. Judasz, mój starszy brat. Byliśmy obaj z natury nieufni. Nie spodziewaliśmy się niczego od naszych bliźnich, ani od nas samych, ani od ewentualnego zbawcy. Czy miałbym siłę, by pójść za twym przykładem aż do końca? Trudna droga. Robiło się coraz ciemniej, ale moja rola szpicla i szantażysty zbratała mnie z tą ciemnością. Spisywałem złe zamiary swoich towarzyszy z pokładu statku, wszystkie ich zbrodnie. Po kilku tygodniach intensywnej pracy przy alei Niel niczemu się już nie dziwiłem. Daremnie by zmyślali nowe historie, był to naprawdę stracony trud. Patrzyłem, jak kręcą się po pomoście-promenadzie, wzdłuż korytarzy, i notowałem najdrobniejszą z ich hec. Bezużyteczna praca, jeśli się śni, że woda zalewa już ładownię. Wkrótce wielką palarnię i salon. Widząc nieuchronność zatonięcia statku, odczuwałem litość dla najbardziej okrutnych spośród pasażerów. Sam Hitler za chwilę przyszedłby płakać w moich ramionach jak dziecko. Arkady ulicy Rivoli. Działo się coś ważnego. Zauważyłem nieprzerwane sznury samochodów wzdłuż zewnętrznych bulwarów. Opuszczano Paryż. Z pewnością wojna. Niespodziewany kataklizm. Wychodząc od

Hilditch and Key po wybraniu krawata przyglądałem się z uwagą temu kawałkowi tkaniny, jakim mężczyźni ozdabiają szyję. Krawat w niebiesko-białe prążki. Miałem również na sobie tego popołudnia beżowy garnitur i pantofle na kauczukowych podszwach. W portfelu fotografię mamy i przeterminowany bilet metra. Właśnie ściąłem włosy. Te wszystkie szczegóły nikogo nie interesowały. Ludzie myśleli tylko, jak ocalić własną skórę. Każdy dla siebie. W krótkim czasie ani przechodnia, ani auta na ulicach. Nawet mama odjechała. Chciało mi się płakać, ale nie zrobiłem tego. Ta cisza, to miasto opustoszałe odpowiadały mojemu nastrojowi. Jeszcze raz przyjrzałem się nowemu krawatowi i butom. Świeciło piękne słońce. Powracały mi w pamięci słowa piosenki:

*Sam
od tylu lat...*

Losy świata? Nie czytałem nawet nagłówek gazet. Zresztą nie będzie już więcej gazet. Ani pociągów. Mama ledwie złapała ostatni Paris–Lausanne. *Sam*

*cierpiał każdego dnia
płacze
wraz z niebem Paryża...*

Nastrojowa piosenka, jakie lubiłem. Niestety, nie była to pora do słuchania romansów. Żyliśmy – jak mi się wydawało – w tragicznej epoce. Nie nuci się przedwojennych szlagierów, kiedy wokół nas wszystko dogorywa. Brakowało mi odpowiedniej postawy. Czy to moja wina? Nigdy nie miałem zamiłowania do wielkich spraw. Z wyjątkiem cyrku, operetki i music-hallu.

Kiedy przeszedłem ulicę Castiglione, zapadła noc. Ktoś szedł za mną krok w krok. Dostałem kuksańca w bok. Khédive. Przeczyłem nasze spotkanie. W tej dokładnie minucie, w tym właśnie miejscu. Koszmar, którego dalsze konsekwencje mogłem

z góry przewidzieć. Bierze mnie pod ramię. Wsiadamy do samochodu. Przecinamy plac Vendôme. Reflektory rzucają dziwne niebieskie światło. Jedyne okno oświetlone, w fasadzie hotelu Continental. Blekaut. Trzeba się do tego przyzwyczaić, mój chłopcze. Wybucha śmiechem, przekręca gałkę radia. *Łagodny zapach, jaki was przenika*

to jest

błękitny Kwiat... ciemna bryła przed nami. Opera? Kościół Trinité? Na lewo świetlny szyld Floresco. Znajdujemy się na ulicy Pigalle. Naciska gaz. *Widok, który was zachwyca*

to jest

błękitny Kwiat... Znowu ciemności. Wielka czerwona latarnia. To z Européen na placu Clichy. Powinniśmy jechać teraz bulwarem Batignolles. Reflektory odsłaniają nagle kratę ogrodzenia i liście drzew. Park Monceau? *Spotkanie jesienią*

to jest

błękitny Kwiat... Pogwizduje refren piosenki, wybija takt, kiwając głową. Jedziemy z zawrotną szybkością. Zgadnie pan, gdzie jesteśmy, mój chłopcze? Ścina zakręt. Moje ramię uderza o jego. Zgrzytają hamulce. Maszyna staje. Wspinam się, ściskając poręcz schodów. Trzaska zapalką i mam czas obejrzeć marmurową tabliczkę na drzwiach: „Agencja Normand-Philibert”. Wchodzimy. Zapach bardziej odrażający niż zwykle chwyta mnie za gardło. Monsieur Philibert stoi pośrodku korytarza. Czekał na nas. Papieros zwisa mu z kącika ust. Robi do mnie oko i pomimo zmęczenia udaje mi się do niego uśmiechnąć: pomyślałem, że mama znajduje się już w Lozannie. Tam mogła się nie bać niczego. Monsieur Philibert wciąga nas do swego biura. Skarży się na spadek cen akcji. To ciągłe uczucie niepewności, które nasila się w wypadku „wstrzymania w brązie”, nie dziwi mnie. Zawsze tak było przy alei Niel 177. Khédive proponuje, żebyśmy pociągnęli łyk szampana, i wyjmuje butelkę z lewej kieszeni marynarki. Począwszy od dzisiaj, nasza „agencja” – zdaje się – zacznie się wspaniale rozwijać. Niedawne wydarzenia zadziałały na naszą korzyść. Wprowadzamy się do prywatnego hotelu na skwerze Cimarosa 3 bis. Koniec z pospolitymi machlojkami. Powierzono nam odpowiedzialne zadania. Nie jest wykluczone, że Khédive’owi zostanie przyznany tytuł prefekta policji. Istnieją stanowiska do objęcia w tych

burzliwych czasach. Nasza rola: przystąpić do różnych wywiadów, rewizji, przesłuchań, aresztowań. „Sekcja ze skweru Cimarosa” połączy dwie funkcje: organizmu policyjnego oraz „biura zakupów” magazynującego artykuły i surowce nie do zdobycia za pewien czas. Khédive wybrał już około pięćdziesięciu osób, które będą z nami pracowały. Starzy znajomi. Wszyscy figurują wraz ze swymi zdjęciami antropometrycznymi w kartotece przy alei Niel 177. To powiedziawszy, Monsieur Philibert podaje nam kielichy szampana. Pijemy za nasze powodzenie. Będziemy – jak się wydaje – królami Paryża. Khédive klepie mnie po policzku i wsuwa mi do wewnętrznej kieszeni plik banknotów. Rozmawiają ze sobą, przerzucają dokumenty, terminarze, telefonują. Od czasu do czasu docierają do mnie strzępy ich rozmów. Niemożliwy jest współdziałanie w ich tajnej naradzie. Przechodzę z biura do sąsiedniego pomieszczenia: salonu, gdzie kazaliśmy czekać naszym „klientom”. Siadali na fotelach z podniszczoną skórą. Na ścianach malowane obrazki przedstawiające sceny z winobrania. Kredens i meble ze smołowanej sosny. Za drzwiami w głębi pokój z łazienką. Wieczorem zostałem sam, żeby uporządkować kartotekę. Pracowałem w salonie. Nikt by nie uwierzył, że ten apartament był siedzibą policyjnego biura. Kiedyś mieszkała tu para rencistów. Zasunąłem kotary. Cisza. Przyćmione światło. Zapach zwiędłych rzeczy. – Co się panu marzy, mój chłopcze? – Khédive wybucha śmiechem i poprawia przed lustrem swój pilśniak. Przecinamy korytarz. Na schodach Monsieur Philibert zapala latarkę. – Dziś w nocy oblewamy mieszkanie na skwerze Cimarosa 3 bis. Właściciele wyjechali. Zarekwirowaliśmy ich dom. Trzeba to uczcić. Szybko. Przyjaciele czekają na nas w *Heure mauve*, kabarecie na Champs-Élysées...

W następnym tygodniu Khédive poleca mi dostarczyć naszej „sekcji” informacji o działalności niejakiego porucznika Dominika. Otrzymaliśmy notatkę na jego temat wraz z adresem, fotografią i następującą uwagą: „do pilnowania”. Mam pod jakimkolwiek pretekstem wkręcić się w środowisko tej ważnej figury. Zjawiam się więc w miejscu jego zamieszkania przy ulicy Boisrobert 5, w XV dzielnicy. Niewielki domek. Porucznik we własnej osobie otwiera mi drzwi. Pytam o pana Henriego Normanda. Odpowiada mi, że się pomyliłem. Więc jękając się, wyjaśniam mu swoją sprawę: jestem zbiegłym więźniem wojennym. Jeden z moich kolegów poradził mi, żebym nawiązał kontakt z panem Normandem przy ulicy Boisrobert 5, jeśli uda mi się

uciec. Ten człowiek osłaniał mnie. Mój kolega z pewnością pomylił adres. Nie znam nikogo w Paryżu. Nie mam ani grosza w kieszeni. Jestem rzeczywiście zbity z tropu. Lustruje mnie od stóp do głów. Wylewam kilka łez, aby go bardziej przekonać. A potem odnajduję się w jego biurze. Pięknym, niskim głosem oznajmia, że chłopak w moim wieku nie powinien dać się zdemoralizować przez katastrofę, jaka spadła na nasz kraj. Znów mierzy mnie wzrokiem. I niespodzianie to pytanie: „Chce pan pracować z nami?”. Prowadzi grupę „zadziwiających” facetów. Większość to zbiegli więźniowie, jak ja. Z Saint-Cyru. Oficerowie w służbie czynnej. Także kilku cywilów. Wszyscy w doskonałej formie, rwą się do akcji. Najwspanialszy ze sztabów. Prowadzimy podziemną walkę przeciwko siłom zła, które w tej chwili triumfują. Zadanie trudne, ale dla mężnych serc nie ma rzeczy niemożliwych. Dobro, Wolność, Etyka zostaną przywrócone w krótkim czasie. On, porucznik Dominik, ręczy za to. Nie podzielałam jego optymizmu. Myślę o raporcie, który dziś wieczór na skwerze Cimarosa będę musiał złożyć w ręce Khédive’a. Porucznik podaje mi nowe szczegóły: ochrzcił swoją grupę mianem Siatki Rycerzy Ciemności. SRC. Niemożliwe jest w rzeczywistości walczyć w biały dzień. Idzie o wojnę podziemną. Będziemy żyli w ciągłym osaczeniu. Każdy członek grupy przyjął jako pseudonim nazwę stacji metra. Przedstawił mi ich wkrótce: Saint-Georges. Obligado. Corvisart. Pernety. Jeszcze inni. Co do mnie, będę się nazywał: „Księżniczka Lamballe”. Dlaczego Księżniczka Lamballe? Kaprys porucznika. „Czy jest pan gotów przyłączyć się do naszej siatki? Honor tego wymaga. Nie powinien pan się wahać ani sekundy. Więc?” Drżącym głosem odpowiadam mu: „Tak”. „Przede wszystkim niech się pan nie łamie, chłopcze. Wiem, czasy są smutne. Gangsterzy są górą. Zapach zgnilizny unosi się w powietrzu. To nie będzie trwało. Niech pan nie traci ducha, Lamballe”. Chce, żebym został na ulicy Boisrobert, ale natychmiast wymyślam sobie starego wujka na przedmieściu, który przyjmie mnie w gościnę. Wyznaczamy spotkanie na jutro po południu, na placu Pyramides, przed posągiem Joanny d’Arc. – Do widzenia, Lamballe. Wpatruje się we mnie, oczy mu się zwięzają, nie mogę wytrzymać ich blasku. Powtarza: „Do widzenia, LAMBALLE”, w szczególny sposób akcentując dwie sylaby: LAM-BALLE. Zamyka drzwi. Zapadał wieczór. Szedłem na los szczęścia w tej nieznannej dzielnicy. Powinni mnie oczekiwać na skwerze Cimarosa.

Co im powiem? W sumie, porucznik Dominik był bohaterem. Wszyscy członkowie jego sztabu również... Trzeba było jednak, żebym zrobił szczegółowy raport dla Khédive'a i Monsieur Philiberta. Istnienie SRC zaskoczyło ich. Nie spodziewali się działalności na taką skalę, „Wkręci się pan tam do nich. Niech pan stara się zdobyć nazwiska i adresy. Piękny połów w perspektywie”. Po raz pierwszy w życiu poznałem to, co nazywa się sprawą sumienia. Bardzo przelotnie zresztą. Wypłacili mi sto tysięcy franków zaliczki za informacje, jakich im dostarczę. Plac Pyramides. Chcielibyście wymazać z pamięci przeszłość, lecz wasza przechadzka prowadzi wciąż na męczące rozdroża. Porucznik chodził tam i z powrotem przed posągiem Joanny d'Arc. Przedstawił mi wielkiego chłopaka o krótko ostrzyżonych blond włosach i oczach koloru barwinka: Saint-Georges'a, z Saint-Cyru. Weszliśmy do Tuileries i usiedliśmy przy bufecie w pobliżu karuzeli. Rozpoznałem dekorację z mojego dzieciństwa. Zamówiliśmy trzy soki owocowe. Obsługujący przyniósł je nam, mówiąc, że są to ostatnie z przedwojennego zapasu. Wkrótce nie będzie już wcale soków owocowych. „Obejdzie się bez nich”, powiedział Saint-Georges z uśmiechem. Ten młody człowiek robił wrażenie bardzo stanowczego. „Pan jest zbiegłym więźniem?”, zapytał mnie. Który pułk? – 5 piechoty, odpowiedziałem mu czystym głosem, ale wolę o tym więcej nie myśleć”. Z trudem przezwyciężyłem się i dodałem: „Mam tylko jedno pragnienie: ciągnąć dalej walkę przeciwko wszystkim”. Wydawało się, że moje wyznanie wiary go przekonało. Podziękował mi uściskiem dłoni. „Zebrałem kilku członków siatki, aby ich panu przedstawić, mój drogi Lamballe, oznajmił porucznik. Czekają na nas przy ulicy Boisrobert”. Są tam Corvisart, Obligado, Pernety i Jasmin. Porucznik mówi o mnie w serdecznych słowach: smutek, jaki odczuwałem po porażce. Moja chęć podjęcia walki. Zaszczyt i pokrzepienie płynące z faktu, że od dziś staję się ich towarzyszem w SRC. „No dobrze, Lamballe, powierzemy ci misję”. Wyjaśnia mi, że pewne indywidua skorzystały z wydarzeń, aby dać pole do popisu swym złym instynktom. Nic bardziej naturalnego w epoce jak nasza, pełnej zamieszek i chaosu. Ci łajdacy korzystają z całkowitej bezkarności: przydzielono im karty policyjne i zezwolenia na noszenie broni. Stosują ohydne represje wobec patriotów i szlachetnych ludzi, popełniają wszelkie rodzaje przestępstw. Zarekwirowali prywatny hotel na skwerze Cimarosa 3 bis, w XVI dzielnicy. Ich wydział nazywa się

oficjalnie: Międzynarodowe Stowarzyszenie Handlowe Paryż – Berlin – Monte Carlo. „To są jedyne wiadomości, jakimi dysponuję. Nasze zadanie: unieszkodliwić ich najszybciej jak tylko możliwe. Liczę na pana, Lamballe. Wkręci się pan pomiędzy tych ludzi. Będzie nas pan informował o ich działalności. Na pana kolej, Lamballe”. Pernety podaje mi kieliszek koniaku. Jasmin, Obligado, Saint-Georges i Corvisart uśmiechają się do mnie. W chwilę później wracamy bulwarem Pasteura. Porucznik chciał mnie odprowadzić aż do przystanku metra Sèvres -Lecourbe. W chwili pożegnania patrzy mi prosto w oczy: „Delikatna misja, Lamballe. W pewnym sensie podwójna gra. Niech pan mnie informuje o sytuacji. Powodzenia, Lamballe”. A gdybym mu tak powiedział prawdę? Za późno. Pomyślałem o mamie. Przynajmniej ona znajdowała się w bezpiecznym miejscu. Kupiłem jej willę w Lozannie dzięki prowizjom, które pobierałem przy alei Niel. Mógłbym pojechać z nią do Szwajcarii, ale zostałem tutaj przez lenistwo i obojętność. Mówiłem już, że mało mnie obchodziły losy świata. Mój los także nie pasjonował mnie nadmiernie. Wystarczyło pozwolić się nieść prądowi. Źdźbło słomy. Tego samego wieczoru sygnalizuję Khédive’owi o złapaniu kontaktu z Corvisartem, Obligadem, Jasminem, Pernetym i Saint-Georges’em. Nie znam jeszcze ich adresów, ale to kwestia czasu. Obiecuję dostarczyć mu jak najszybciej wszystkich potrzebnych informacji o tych młodych ludziach. I o innych jeszcze, których porucznik nie omieszka mi przedstawić. W miarę rozwoju spraw zrealizujemy „piękny połów”. Powtarza to, zacierając ręce. „Byłem pewien, że wzbudzi pan ich zaufanie ze swoją mordką sprzedawcy gipsowych posążków”. Czuję nagły zawrót głowy. Oznajmiam mu, że szefem tej siatki nie jest porucznik, jak sądziłem. „A więc kto?” Znajduję się na skraju przepaści, wystarczyłoby bez wątpienia kilka kroków, żeby stamtąd zawrócić. „KTO?” Ale nie, nie mam na to siły. „KTO? – Niejaki LAM-BAL-LE. LAM-BAL-LE. – Więc dobrze, położymy na nim łapę. Niech pan się stara go zidentyfikować”. Sprawy się komplikowały. Czy to była moja wina? Powierzono mi obustronnie rolę podwójnego szpiega. Nie chciałem budzić niczyjego niezadowolenia. Nie więcej Khédive’a i Philiberta niż porucznika i jego chłopców z Saint-Cyru. Należałoby wybrać, mówiłem sobie. Rycerz Ciemności czy płatny agent oficyny przy skwerze Cimarosa? Bohater czy szpicel? Ani to, ani to. Kilka książek: *Antologia zdrajców, od Alcybiadesa do kapitana Dreyfusa, Joanovici*

taki, jakim był, *Tajemnice Rycerza z Eon, Fregoli, człowiek nikt*, rozjaśniło mi w głowie co do mojej roli. Czułem się spokrewniony ze wszystkimi tymi ludźmi. Wcale nie stroję sobie żartów. Ja także doświadczyłem tego, co nazywa się wielkim uczuciem. Głębokim. Nieuchronnym. Jedynym, o którym mogę mówić ze znajomością rzeczy i które mogłoby mi dodać sił do przenoszenia gór: STRACH. Paryż pogrążał się w ciszy i ciemnościach. Kiedy przywołuję tamte chwile, mam wrażenie, że zwracam się do głuchych albo że mój głos nie jest dość mocny. ZDYCHA-ŁEM ZE STRA-CHU. Pociąg metra zwolnił biegu, aby wjechać na most Passy. Sèvres-Lecourbe – Cambronne – La Motte-Picquet – Dupleix – Grenelle – Passy. Rano jechałem w przeciwnym kierunku: z Passy do Sèvres-Lecourbe. Od skweru Cimarosa w XVI dzielnicy do ulicy Boisrobert w XV dzielnicy. Od porucznika do Khédive’a. Od Khédive’a do porucznika. Bieganina podwójnego agenta. Wyczerpujące. Krótki oddech. „Niech się pan stara zdobyć imiona i adresy. Piękny połów w perspektywie. – Liczę na pana, Lamballe. Przyniesie nam pan wiadomości o tych gangsterach”. Chciałbym się zdecydować, ale zarówno Siatka Rycerzy Ciemności, jak i Międzynarodowe Stowarzyszenie Handlowe Paryż – Berlin – Monte Carlo były mi obojętne. Ulegałem sprzecznym naciskom kilku maniaków, którzy mnie zadrećzali, tak że umierałem z wyczerpania. Służyłem niewątpliwie za kozła ofiarnego wszystkim tym szaleńcom. Byłem najślabszy spośród nich. Nie miałem żadnej szansy na ocalenie. Epoka, w jakiej żyliśmy, wymagała wyjątkowych uzdolnień w zakresie bohaterstwa lub zbrodni. A ja rzeczywiście nie pasowałem. Chorągiewka na wietrze. Pajac. Zamykam oczy, żeby odnaleźć zapachy i piosenki z tamtego okresu. Tak, powietrze było przesiąknięte wonią zgnilizny. Zwłaszcza u schyłku dnia. Muszę powiedzieć, że nigdy nie widziałem tak pięknych zmierzchów. Umieranie lata zdawało się nie mieć końca. Opustoszałe aleje. Nieobecny Paryż. Słysząc było uderzenia zegara. I ten zapach rozchodzący się na wszystkie strony, który przenikał fasady budynków i liście drzew kasztanowych. Co do piosenek, to były: *Swing Trubadur, Gwiazda z Rio, Nie wiem, jak się to skończy, Réginella...* Przypominacie sobie. Lampy wagonów były zamalowane na kolor malwy, tak że zaledwie odróżniałem innych pasażerów. Po prawej stronie, zupełnie blisko, snop światła z wieży Eiffla. Wracalem z ulicy Boisrobert. Metro zatrzymało się na moście Passy.

Pragnąłem, żeby już nigdy nie ruszyło i żeby nikt nie wyrwał mnie z tego *no man's landu* pomiędzy dwoma brzegami. Żadnego ruchu. Żadnego hałasu. Nareszcie spokój. Roztopić się w półcieniu. Zapominałem dźwięku ich głosów, nie pamiętałem mocnych kuksańców, jakimi mnie częstowali, ich zaciekleści w szarpaniu mnie na wszystkie strony. Strach ustępował miejsca pewnego rodzaju odrętwieniu. Odprowadzałem wzrokiem snop światła. Obracał się, obracał jak strażnik obchodzący swoje nocne warty. Ze znużeniem. Jego jasność przygasała stopniowo. Wkrótce została tylko ledwie dostrzegalna smuga światła. Ja także, po wielu kołowaniach i kołowaniach, tysiącach i tysiącach marszów tam i z powrotem, gubiłem się w ciemnościach. Nic z tego nie rozumiejąc. Od Sèvres-Lecourbe do Passy. Od Passy do Sèvres-Lecourbe. Około godziny dziesiątej rano zgłaszałem się w kwaterze głównej na ulicy Boisrobert. Braterskie uściski dłoni. Uśmiechy i jasne spojrzenia tych wartościowych chłopców. „Co nowego, Lamballe?”, pytał mnie porucznik. Dostarczałem mu coraz bardziej precyzyjnych szczegółów o Międzynarodowym Stowarzyszeniu Handlowym Paryż – Berlin – Monte Carlo. Tak, chodziło rzeczywiście o wydział policyjny, któremu powierzano bardzo „haniebne zadania”. Dwaj moi szefowie Henri Normand i Pierre Philibert werbowali swój personel wśród przestępczego świata. Włamywacze, stręczyciele, wyrzutki społeczne. Dwóch lub trzech skazanych na śmierć. Każdy dysponował kartą policyjną i pozwoleniem na noszenie broni. Podejrzane towarzystwo krążyło wokół oficyny na skwerze Cimarosa. Aferzyści, morfiniści, szarlatani, kurtyzany, od jakich roi się zawsze w „burzliwych czasach”. Wszystkie te indywidua wiedziały, że są popierane na wysokim szczeblu, i popełniały najgorsze nadużycia. Wydawało się nawet, że ich szef, Henri Normand, narzucał swoją wolę w gabinecie prefekta policji i w trybunale nad Sekwaną, o ile takie organizmy jeszcze istnieją. W miarę jak ciągnąłem swoje sprawozdanie, zauważyłem na ich twarzach wyraz konsternacji i niesmaku. Jedyne oblicze porucznika pozostało nieprzeniknione. „Brawo, Lamballe! Pańska misja trwa dalej. Bardzo pana proszę o ułożenie kompletnej listy członków wydziału ze skweru Cimarosa”.

I potem, pewnego dnia wydali mi się bardziej uroczyści niż zazwyczaj. Porucznik przełknął ślinę: „Lamballe, musi pan dokonać zamachu”. Przyjąłem to oświadczenie ze spokojem, jak gdybym przygotowywał się do tego od dawna. „Liczymy na pana,

Lamballe, że nas pan uwolni od Normanda i Philiberta. Niech pan wybierze odpowiedni moment”. Zapanowała cisza, podczas której Saint-Georges, Pernety, Jasmin oraz wszyscy inni wpatrywali się we mnie ze wzruszeniem w oczach. Porucznik siedział nieporuszony za biurkiem. Corvisart podał mi kieliszek koniaku. Jak dla skazańca, pomyślałem. Widziałem zupełnie wyraźnie gilotynę wzniesioną pośrodku pokoju. Porucznik grał rolę kata. Jeśli idzie o członków jego sztabu, to asystowali przy egzekucji, rzucając mi czułe uśmiechy. „A więc, Lamballe? Co pan o tym myśli? – Wiele dobrego”, odpowiedziałem mu. Miałem ochotę wybuchnąć szlochem i wyjawić im swoją delikatną misję podwójnego szpiega. Ale istnieją sprawy, które trzeba zatrzymać dla siebie. Nigdy nie powiedziałem ani słowa za dużo. Dostyc mało wylewny z natury. Inni, przeciwnie, nie wahali się opisywać mi długo i szeroko stanów swego ducha. Przypominam sobie popołudnia, jakie spędzałem z chłopakami z SRC. Przechadzaliśmy się w okolicach ulicy Boisrobert w dzielnicy Vaugirard. Słuchałem, jak bredzą trzy po trzy. Pernety marzył o sprawiedliwszym świecie. Policzki mu pały. Wyjmował z portfela fotografie Robespierre’a i Andrégo Bretona. Udawałem, że podziwiam te dwa indywidua. Pernety bez przerwy powtarzał „Rewolucja”, „Zawładnięcie świadomością”, „Zadania dla nas, intelektualistów” suchym tonem, który mi rozdzierał serce. Palił fajkę i nosił buty z czarnej skóry – szczegóły, które mnie rozczulają. Corvisart cierpiał, ponieważ urodził się w mieszczańskiej rodzinie. Starał się zapomnieć o parku Monceau, kortach tenisowych w Aix-les-Bains i puddingu z rodzynekami, jaki jadał w czasie cotygodniowego podwieczorku u swych kuzynek. Pytał mnie, czy można być jednocześnie socjalistą i chrześcijaninem. Jasmin, ten chciałby, żeby Francja stawiała większy opór. Podziwiał Henriego de Bournazela i znał nazwy wszystkich gwiazd. Obligado pisał „dziennik polityczny”. „Musimy dawać świadectwo, tłumaczył mi. To obowiązek. Nie mogę milczeć”. Jednak milczenia uczy się człowiek bardzo szybko: wystarczy dostać dwa kopniaki obcasem w szczękę. Picpus pokazywał mi listy od swojej narzeczonej. Jeszcze trochę cierpliwości: jego zdaniem, koszmar zniknie. Wkrótce będziemy żyli w spokojnym świecie. Opowiemy naszym dzieciom o próbach, jakie przeszliśmy. Saint-Georges, Marbeuf i Pelleport opuścili Saint-Cyr z zamiłowaniem do wojaczki i twardym postanowieniem, że umrą ze śpiewem na

ustach. Ja myślałem o skwerze Cimarosa, gdzie będę musiał złożyć swoje codzienne sprawozdanie. Mieli szczęście, ci chłopcy, że mogli oddawać się swoim mrzonkom. Dzielnica Vaugirard nadawała się do tego wspaniale. Spokojna, bezpieczna, można powiedzieć małe prowincjonalne miasto. Sama nazwa „Vaugirard” przypominała gałęzie okryte liśćmi, bluszcz, strumyk obrośnięty po brzegach mchem. W takim ustroniu mogli sobie pozwolić na swobodne snucie najbardziej bohaterских rojeń. Bez żadnego ryzyka. To mnie wysyłano, żebym otarł się o rzeczywistość i żeglował po wzburzonej wodzie. Widocznie wzniosłość nie pasowała do mnie. Pod koniec dnia, zanim zszedłem do metra, usiadłem na ławce na placu Adolphe’a Chérioux i przez kilka jeszcze minut chłonałem urok tej wioski. Mały domek z ogrodem. Klasztor czy przytułek dla starców? Przysłuchiwałem się szeptom drzew. Kot przemknął przed kościołem. Nie wiadomo skąd usłyszałem melodyjny głos: Fred Gouin śpiewający *Przesłanie kwiatów*. Tak więc zapomniałem, że nie mam przyszłości. Moje życie brało nowy kurs. Trochę cierpliwości, jak mówił Picpus, i mógłbym wyjść cało z koszmaru. Znalazłbym posadę barmana w oberży w okolicach Paryża. BARMAN. Oto co wydawało się odpowiadać moim gustom i zdolnościom. Stoicie za BAREM. Bar zasłania was przed innymi. Ci inni zresztą nie żywią w stosunku do was żadnych wrogich uczuć i poprzestają na upominaniu się o alkohole. Podajecie je szybko. Najbardziej agresywni wyrażają wam swoją wdzięczność. Zawód BARMANA jest o wiele bardziej szlachetny, niżby się sądziło, jedyny, jaki zasługuje na specjalną uwagę, tak jak zawód gliny czy lekarza. O co by chodziło? Przygotowywać koktajle. Swego rodzaju marzenie. Środek przeciw bólowi. Przy kontuarze proszą was o niego błagalnym głosem. Curaçao? Marie brizard? Eter? Wszystko, co zechcą. Po dwu czy trzech szklankach rozrzewniają się, zataczają, oczy im się wywracają, aż do świtu przesuwają paciorki długiego różańca swych zbrodni i swojej niedoli, proszą was, aby ich pocieszyć. Hitler, między jednym a drugim czknięciem, błaga was o przebaczenie. „O czym pan myśli, Lamballe? – O szpiclach, poruczniku”. Czasami zatrzymywał mnie w swoim biurze na „małe tête-à-tête”. „Dokona pan tego zamachu. Wierzę w pana, Lamballe”. Przybierał autorytatywny ton i wpatrywał się we mnie swymi czarnoniebieskimi oczami. Powiedzieć mu prawdę? Jaką właściwie? Podwójny szpieg? czy potrójny? Nie wiedziałem już, kim jestem. Poruczniku, JA NIE

ISTNIEJĘ. Nie miałem nigdy dowodu osobistego. Uznałby taką dystrakcję za nie do przyjęcia w czasach, kiedy powinno się mocno trzymać i wykazać wyjątkową siłę charakteru. Pewnego wieczoru znalazłem się z nim sam na sam. Zmęczenie jak szczur przeżerało wszystko, co mnie otaczało. Ściany wydały mi się nagle obciążone ciemnym aksamitem, mgła ogarniała pomieszczenie, zacierając kontury mebli: biurka, krzesel, normandzkiej szafy. Zapytał: „Co nowego, Lamballe?”, znużonym głosem, który mnie zaskoczył. Porucznik przyglądał mi się badawczo jak zwykle, ale jego oczy utraciły swój metaliczny blask. Siedział za biurkiem, z głową przechyloną na prawą stronę, policzkiem prawie dotykając ramienia, w postawie wyrażającej zamyślenie i zwątpienie, jakie widziałem u niektórych aniołów florentyńskich. Powtórzył: „Co nowego, Lamballe?”, takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Doprawdy, to nie ma znaczenia”, a jego spojrzenie przytłoczyło mnie. Spojrzenie przepełnione taką łagodnością, takim smutkiem, że odniosłem wrażenie, iż porucznik Dominik wszystko zrozumiał i wybaczył mi: moją rolę podwójnego (czy potrójnego) szpiega, mój popłoch na myśl, że w czasie burzy czułem się tak słaby jak źdźbło słomy, oraz zło, jakie popełniłem przez tchórzostwo czy nieuwagę. Po raz pierwszy ktoś zainteresował się moją sytuacją. Ta łagodność wzruszyła mnie. Na próżno usiłowałem znaleźć kilka słów podziękowania. Oczy porucznika stawały się coraz bardziej tkliwe, znikły chropowatości jego twarzy. Klatka piersiowa zapadła się. Wkrótce zostało tylko tyle buty i energii, co u wyrozumiałej i znużonej bardzo starej mamy. Zgiełk świata z zewnątrz rozpryskiwał się o aksamitne ściany. Przedzieraliśmy się poprzez watowany półcień aż na głębinę, gdzie nikt nie mógł zakłócać naszego snu. Paryż tonął wraz z nami. Z kabiny widziałem snop światła z wieży Eiffla: latarnia morska, która wskazywała, że znajdowaliśmy się w pobliżu brzegu. Nigdy tam nie dobijemy. To nie ma znaczenia. „Trzeba spać, mój mały, szeptał porucznik. SPAĆ”. Jego oczy po raz ostatni zabłyśły w ciemności. SPAĆ. „O czym pan myśli, Lamballe?” Potrząsa mną za ramiona. Wojowniczym tonem: „Niech pan będzie gotowy do tego zamachu. Los siatki jest w pańskich rękach. Niech się pan nie załamuje”. Wielkimi krokami przemierza nerwowo pokój. Rzeczy odzyskały swą zwykłą surowość. „Odwagi, Lamballe. Liczę na pana”. Metro rusza z miejsca. Cambronne – La Motte-Picquet – Dupleix – Grenelle – Passy. Godzina dziewiąta

wieczór. Na rogu ulicy Franklina i Vineuse odnalazłem białego bentleya, którego ofiarował mi Khédive w nagrodę za moje usługi. Na młodych ludziach z SRC mógłby zrobić złe wrażenie. W tych czasach poruszanie się po mieście luksusowym samochodem nasuwało przypuszczenia o działalności niezbyt zgodnej z moralnością. Jedynie handlarze i dobrze opłacani szpicle mogli sobie pozwolić na taką fantazję. Mniejsza o to. Wraz ze zmęczeniem ulatniały się moje ostatnie skrupuły. Przejeżdżałem powoli przez plac Trocadéro. Wytlumiony silnik. Siedzenia z juchtowej skóry. Ten bentley bardzo mi się podobał. Khédive wynalazł go w garażu w Neuilly. Otworzyłem podręczny schowek: papiery właściciela ciągle tam leżały. W sumie, kradziony samochód. Pewnego dnia zażąda się od nas zdania rachunków. Jaką przyjmą postawę przed trybunałem wobec zarzutu tyłu zbrodni dokonanych przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Handlowe Paryż – Berlin – Monte Carlo? Banda złoczyńców, powie sędzia. Korzystali z nędzy i powszechnego chaosu. „Monstra”, napisze Madeleine Jacob. Przekręciłem gałkę radia.

*Jestem sam
dziś wieczór
ze swoim zmartwieniem...*

Aleja Klébera, serce zabiło mi trochę szybciej. Fasada hotelu Baltimore. Skwer Cimarosa. Przed 3 bis trzymali ciągle straż Codébo i Robert le Pâle. Codébo wyszczerzył do mnie w uśmiechu swoje złote zęby. Wszedłem na pierwsze piętro, pchnąłem drzwi do salonu. Khédive, ubrany w bladoróżowy szlafrok z jedwabiu przetykanego złotem, dał mi znak ręką. Monsieur Philibert przeglądał fiszki: „Jak się rozwija SRC, mój mały Swingu Trubadurze?”. Khédive klepnął mnie z rozmachem po ramieniu i podał mi kieliszek koniaku: „Nie do zdobycia. Trzysta tysięcy franków za butelkę. Bądźcie spokojni. Na skwerze Cimarosa lekceważymy restrykcje. A ta SRC? Co nowego?”. Nie, jeszcze nie miałem adresów Rycerzy Ciemności. Pod koniec tygodnia, z całą pewnością. „A gdybyśmy dokonali naszego połowu na ulicy Boisrobert któregoś popołudnia, kiedy wszyscy członkowie SRC tam się znajdują? Co

pan o tym myśli, Trubadurze?” Odradziłem im ten sposób postępowania. Lepiej było aresztować jednego po drugim. „Nie mamy czasu do stracenia, Trubadurze”. Uspokajałem ich niecierpliwość, na nowo obiecywałem dostarczyć ostatecznych informacji. Jednego dnia zadreżali mnie w taki sposób, że aby się od nich odczepić, musiałbym dotrzymać swoich zobowiązań. „Połów” odbyłby się. Zasłużyłbym w końcu na ten przydomek „kapusia”, który przyprawiał mnie o klucie serca, zawrót głowy za każdym razem, kiedy słyszałem, jak go wymawiano. KAPUŚ. Dokładałem jednak starań, żeby opóźnić ten termin płatności, wyjaśniając dwu moim chlebodawcom, że członkowie SRC byli nieszkodliwi. Chimeryczni chłopcy. Naładowani ideałami, to wszystko. Dlaczego by nie pozwolić bredzić tym miłym kretynom? Cierpieli na chorobę: młodość, która bardzo szybko przemija. Za kilka miesięcy będą o wiele bardziej rozsądni. Sam porucznik zaniechałby walki. Zresztą o jaką walkę mogłoby chodzić, jak nie o pełną pasji gadaninę, w której słowa: Sprawiedliwość, Postęp, Prawda, Demokracja, Wolność, Rewolucja, Honor, powracały bez końca. Wszystko to wydawało mi się zupełnie nieszkodliwe. Moim zdaniem jedynym niebezpiecznym człowiekiem był LAM-BAL-LE, którego jeszcze nie zidentyfikowałem. Niewidzialny. Nieuchwytny. Prawdziwy szef SRC. Działał on w sposób najbardziej brutalny. Mówiono o nim na ulicy Boisrobert z drżeniem strachu i podziwu w głosie. LAM-BAL-LE! Kim był? Kiedy wypytywałem porucznika, odpowiadał wymijająco. – LAMBALLE nie będzie oszczędzał gangsterów i sprzedawczyków, którzy w tej chwili są górą. LAMBALLE uderza szybko i mocno. Słuchamy LAMBALLE’a z zamkniętymi oczami. LAMBALLE nie myli się nigdy. LAMBALLE to wspaniały gość. LAMBALLE, nasza jedyna nadzieja... Nie mogłem uzyskać dokładniejszych informacji. Trochę cierpliwości i wypłoszymy tę tajemniczą osobistość. Powtarzałem Khédive’owi i Philibertowi, że schwytanie Lamballe’a powinno być naszym jedynym celem. LAM-BAL-LE! Co do innych, to się nie liczyli. Czarujące gaduły. Pytałem, czy się ich oszczędzi. „Zobaczymy. Niech pan nam najpierw dostarczy informacji o tym Lamballe’u. Słyszysz pan?” Usta Khédive’a kurczyły się w grymas niewróżący nic dobrego. Philibert, zamyślony, gładził sobie wąsy, powtarzając: „LAM-BAL-LE, LAM-BAL-LE. – Porachuję mu kości, temu LAM-BALLE’owi, oświadczył Khédive, i ani Londyn, ani Vichy, ani Amerykanie nie

wyciągną go z tego. Koniaku? Cravena? Niech się pan częstuje, mój mały. – Sprzedaliśmy właśnie Sebastiana del Piombo, oznajmił Philibert. Oto dziesięć procent prowizji”. Podał mi jasnozieloną kopertę. „Niech mi pan znajdzie na jutro kilka wschodnich brązów. Skontaktowaliśmy się z klientem”. Lubilem tę dodatkową pracę, jaką mnie obarczali: wynajdywać dzieła sztuki i natychmiast meldować o nich na skwerze Cimarosa. Rankiem zapuszczałem się do bogatych właścicieli, którzy opuścili Paryż w następstwie wypadków. Wystarczyło otworzyć wytrychem zamek albo zażądać klucza u dozorczyńni, pokazując kartę policyjną. Przetrzęsałem drobiazgowo opuszczone domy. Właściciele, wyjeżdżając, pozostawili tam drobne przedmioty: pastele, wazy, wyroby tapicerskie, książki, rękopisy. To nie wystarczało. Wyruszałem na poszukiwanie składów do przechowywania mebli, miejsc pewnych, kryjówek, które mogły w tych niespokojnych czasach dać schronienie najbardziej cennym kolekcjom. Strych na przedmieściu wschodnim, gdzie czekały na mnie obicia firmy Gobelins i perskie dywany, stary garaż przy porte Champerret zawalony obrazami mistrzów. W piwnicy w Auteuil kuferek zawierający klejnoty ze starożytności i renesansu. Oddawałem się temu plądrowaniu z lekkim sercem, a nawet z pewnego rodzaju radością, której będę się wstydził – później – przed trybunałami. Żyjemy w wyjątkowych czasach. Kradzieże, frymarczenia stały się monetą obiegową i Khédivé, doceniając moje uzdolnienia, zatrudniał mnie raczej przy wynajdywaniu dzieł sztuki niż metali nieżelaznych. Byłem mu za to wdzięczny. Doznałem wielu estetycznych wzruszeń. Na przykład przed Goyą przedstawiającym zabójstwo księżniczki Lamballe. Właściciel sądził, że zabezpieczy go, ukrywając w kasie pancерnej Banku Franco-Serbe, przy ulicy Helder 3. Wystarczyło, że pokazałem kartę policyjną, aby mi pozwolono rozporządzać tym arcydziełem. Wszystkie zagarnięte przedmioty sprzedawaliśmy. Dziwaczna epoka. Zrobiła ze mnie osobnika „niezbyt kryształowego”. Szpicel, rabuś, może morderca. Nie byłem bardziej niegodziwy niż inni. Płynąłem z prądem, to wszystko. Nie odczuwam żadnego specjalnego pociągu do zła. Jednego dnia spotkałem starszego pana obwieszonoego pierścionkami i koronkami. Tłumaczył mi głosem wpadającym w falset, że wycinał fotografie zbrodniarzy z „Détective’a”, znajdując w nich „dzikie” i „złowrogie” piękno. Wychwalał przede mną ich „niezmacone” i „imponujące” osamotnienie,

opowiadał mi o jednym z nich, Eugène Weidmannie, którego nazywał „aniołem ciemności”. Ten gość to był literat. Powiedziałem mu, że Weidmann w dniu swej egzekucji miał buty na kauczukowych podszewkach. Kupił mu je niegdyś jego matka we Frankfurcie. I że zawsze, jeśli kocha się ludzi, trzeba zatrzymywać się na takich jak te właśnie nędznych szczegółach. Reszta nie ma żadnego znaczenia. Biedny Weidmann! W chwili, gdy to do was mówię, Hitler zasnął, ssąc swój kciuk, i zatrzymuję na nim rozczulone spojrzenie. Skamle jak pies, któremu coś się śni. Kurczy się, maleje, maleje, zmieściłby się w zagłębieniu mojej dłoni. – O czym pan myśli, Swingu Trubadurze? – O naszym Führerze, Monsieur Philibercie. – Sprzedamy w najbliższym czasie Franza Halska. Dostanie pan za swój trud piętnaście procent prowizji. Jeśli pomoże nam pan schwytać Lamballe’a, wypłacę panu premię pięćset tysięcy franków. Czym się przejmować, młody człowieku. Trochę koniaku? Kręci mi się w głowie. Z pewnością zapach kwiatów. Salon tonął w daliach i orchideach. Między dwoma oknami ogromny bukiet róż zasłaniał do połowy autoportret pana de Bel-Respiro. Godzina dziesiąta wieczór. Zapełniali pokój jedni po drugich. Khédive przyjmował ich w smokingu, ciemnoczerwonym w zielone cętki, Monsieur Philibert witał ich lekkim skinieniem głowy i od nowa przeglądał swoje fiszki. Od czasu do czasu podchodził do któregoś z nich, podejmował krótką rozmowę, coś sobie notował. Khédive podawał alkohole, papierosy i drobne ciasteczka. Państwo de Bel-Respiro byliby zdziwieni, widząc w swym salonie takie zgromadzenie: był tam „markiz” Lionel de Zieff, karany niegdyś za kradzieże, sprzeniewierzenia, paserstwo, nielegalne noszenie odznaczeń; Costachesco, rumuński bankier, spekulacje giełdowe i oszukańcze bankructwa; „baron” Gaetan de Lussatz, światowej sławy tancerz, podwójny paszport – monegaski i francuski; Pols de Helder, gentleman-włamywacz; Rachid von Rosenheim, Mister Niemiec 1938, zawodowy oszust; Jean-Farouk de Méthode, właściciel cyrku Automne i *Heure mauve*, stręczyciel, z zakazem pobytu w całym Commonwealth; Ferdinand Poupet zwany „Paulo Hayakawa”, agent ubezpieczeniowy, spalony, fałszowanie dokumentów; Otto da Silva, „El Rico Plantador”, szpieg w stanie spoczynku; „hrabia” Baruzzi, ekspert od dzieł sztuki i morfinista; Darquier zwany „de Pellepoix”, pokątny adwokat; „mag” Ivanoff, bułgarski szarlatan, „urzędowy tatuażysta koptyjskich kościołów”; Odicharvi, tajny

wywiadowca prefektury w środowiskach rosyjskich białych; Mickey de Voisins, „subretka”, homoseksualna prostytutka; eks-komendant lotnictwa Constantini; Jean Le Houleux, dziennikarz, dawny skarbnik Klubu Pawęży i szantażysta; bracia Chapochnikoff, których liczby nigdy dokładnie nie znałem, ani też ich firmy handlowej. Kilka kobiet: Lucie Onstein, zwana „Frau Sultana”, niegdyś tancerka w stylu „u Rigolettich”; Magda d’Andurian, dyrektorka „światowego i dyskretnego” hotelu w Palmyrze; Violette Morris, mistrzyni w podnoszeniu ciężarów, chodziła zawsze w męskich ubraniach; Emprosine Marousi, bizantyjska księżniczka, lekomanka i lesbijka; Simone Bouquereau i Irène de Tranzé, eks-pensjonariuszki z One Two Two; „baronowa” Lydia Stahl, która lubiła szampana i świeże kwiaty. Wszystkie te osobistości odwiedzały 3 bis z gorliwością. Wyłoniły się niespodziewanie z blekautu, z okresu rozpaczy i niedoli na zasadzie fenomenu podobnego do samoródtwa. Większość z nich zajmowała stanowiska w łonie Międzynarodowego Stowarzyszenia Handlowego Paryż – Berlin – Monte Carlo. Zieff, Méthode i Helder prowadzili dział skór. Dzięki przebiegłości swych akwizytorów wystarali się o wagony chromowanej skóry cielecej, które następnie MSHPBM odsprzedawało po cenie dwunastokrotnie wyższej od ustanowionej. Costachesco, Hayakawa i Rosenheim wybrali metale, substancje tłuszczowe i oleje mineralne. Eks-komendant Constantini działał na odcinku bardziej ograniczonym, ale przynoszącym dochód: wyroby szklane, perfumeryjne, skóry zamszowe, herbatniki, śruby i sworznie. Innym powierzał Khédive delikatne zlecenia: Lussatz sprawował nadzór i opiekę nad kapitałem, jaki w wielkiej ilości napływał każdego dnia na skwer Cimarosa. Rola da Silvy i Odicharwiego polegała na rekuperacji złota i zagranicznych dewiz. Mickey de Voisins, Baruzzi i „baronowa” Lydia Stahl robili spis prywatnych hoteli, gdzie mogłem zająć dzieła sztuki. Hayakawa i Jean Le Houleux prowadzili księgowość przedsiębiorstwa. Darquier służył jako radca prawny. Jeśli idzie o braci Chapochnikoff, to nie mieli żadnej ściśle określonej funkcji i kręcili się to tu, to tam. Simone Bouquereau i Irène de Tranzé były osobistymi „sekretarkami” Khédive’a. Księżniczka Marousi przygotowywała dla nas porozumienia bardzo potrzebne w środowiskach światowców i bankierów. Frau Sultana i Violette Morris dostawały wysokie honoraria jako konfidentki. Magda d’Andurian, kobieta z głową i aktywistka,

szukała klientów na północy Francji i dostarczała do 3 bis wiele kilometrów kwadratowych brezentu i wełny czesankowej. Na koniec nie zapomnijmy wymienić członków służby przeznaczonej do działań ściśle policyjnych: Tony Breton, przystojniak, podoficer Legii i zawołany siepacz; Jo Reocreux, dzierżawca domu publicznego; Vital-Léca, zwany „Złota Morda”, płatny morderca; Armand le Fou: „Zatłukę ich, zatłukę, wszystkich zatłukę”; Codébo i Robert le Pâle, relegowani, używani jako portierzy i „przyboczna straż”; Danos „Mamut” albo „Gruby Bill”; Gouari „Amerykanin”, rzezimieszek pracujący jako osłona... Khédive rządził tym wesołym światkiem, który kronikarze sądowi nazwą później „bandą ze skweru Cimarosa”. Na razie interesy rozwijały się pomyślnie. Zieff mówił o przywłaszczeniu sobie kilku atelier z Victorine, Eldorado i Folies-Wagram; Helder formował „Stowarzyszenie powszechnego udziału”, które zrzeszałoby wszystkie hotele Côte d’Azur; Costachesco kupował dziesiątkami nieruchomości; Rosenheim oświadczył, że „otrzymamy wkrótce całą Francję za bezcen i odsprzedamy ją temu, kto da więcej”. Słuchałem, obserwowałem wszystkich tych szaleńców. Z ich twarzy pod żyrandolami spływał kroplami pot. Mówili coraz szybciej: Redukcje... maklerstwa... prowizje... składy... wagony... marże dochodowe... Bracia Chapochnikoff, coraz to liczniejsi, napełniali niestrudzenie kielichy szampanem. Frau Sultana kręciła korbą gramofonu. Johnny Hess:

*Włączmy się
w nastrój
niech zginą
troski*

Rozpięła bluzkę, ruszyła krokiem swinga. Inni poszli za jej przykładem. Codébo, Danos i Robert le Pâle weszli do salonu. Torowali sobie przejście między tańczącymi, dotarli do Monsieur Philiberta, szepnęli mu kilka słów na ucho. Patrzyłem przez okno. Samochód z wygaszonymi światłami przed 3 bis. Vital-Léca wymachiwał latarką, Reocreux otwierał drzwiczki. Człowiek z kajdankami na rękach. Gouari popchnął go

brutalnie w stronę schodów. Myślałem o poruczniku, o chłopcach z Vaugirard. Którejś nocy zobaczą ich skutych łańcuchami, jak ten tutaj skazaniec. Breton weźmie ich na prąd. Następnie... Czy będę mógł żyć z tymi wyrzutami sumienia? Pernety i jego buty z czarnej skóry. Picpus i jego listy od narzeczonej. Niebieskie jak barwinek oczy Saint-Georges'a. Ich marzenia, wszystkie ich piękne urojenia zgasną w piwnicy 3 bis o ścianach zbryzganych krwią. Z mojej winy. To znaczy nie należałoby sądzić, że używam lekkomyślnie terminów: „magneto”, „blekaut”, „kapuś”, „płatny morderca”. Przedstawiam to, co widziałem, to, co przeżyłem. Bez żadnych upiększeń. Niczego nie zmyślam. Wszystkie osoby, o których mówię, istniały. Dokładność posuwam aż do ukazywania ich pod prawdziwymi imionami. Jeśli idzie o moje osobiste zainteresowania, to kierowały się raczej w stronę róż damasceńskich, ogrodu w blasku księżycy i tanga szczęśliwych dni. Serce midinetki. Nie miałem szczęścia. Słysząc było ich jęki dochodzące z podziemia, które w końcu zagłuszała muzyka. Johnny Hess:

*Rytm tańca
porywa mnie
rytm tańca
jak na skrzydłach
unoszą was...*

Frau Sultana podniecała tańczących, wydając przenikliwe okrzyki. Ivanoff potrząsał swą „pałeczką z lekkich metali”. Popychali się, dostawali zadyszki, taniec stawał się bardziej urywany, przewrócili w przejściu wazę z daliami, na nowo podjęli w najlepsze swoje pląsy.

*Muzyka
to czarodziejski
nektar miłości...*

Drzwi otworzyły się na oścież. Codébo i Danos trzymali go za ramiona. Nie zdjęto mu kajdanków. Twarz zalana krwią. Zatoczył się, upadł pośrodku salonu. Tamci zatrzymali się wyczekująco. Jedynie bracia Chapochnikoff jak gdyby nigdy nic zbierali szczątki wazy, poprawiali ułożenie kwiatów. Jeden z nich po cichu podszedł do baronowej Lydii Stahl, podając jej orchideę.

– Jeśli zawsze będziemy trafiać na tego rodzaju małych pyszałków, będzie to bardzo męczące dla nas, oznajmił Monsieur Philibert. – Trochę cierpliwości, Pierre. W końcu się złamie. – Obawiam się, że nie, Henri. – Więc dobrze, zrobimy z niego męczennika. Potrzeba – zdaje się – męczenników. – Męczennicy, to idiotyczne, oznajmił Lionel de Zieff ciężkim głosem. – Odmawia pan odpowiedzi?, pytał go Monsieur Philibert. – Nie będziemy pana dłużej męczyć, szepnął Khédive. Skoro pan nie odpowiada, to znaczy, że pan nie wie. – Ale jeśli pan wie cokolwiek, oznajmił Monsieur Philibert, byłoby lepiej powiedzieć to od razu.

Podniósł głowę. Czerwona plama na dywanie z Savonnerie w miejscu, gdzie oparł się czołem. W jego oczach niebieskich jak barwinek (takich samych jak oczy Saint-Georges'a) błysk ironii. A raczej pogardy. Można umrzeć za swoje ideały. Khédive wymierzył mu policzek, trzykrotnie, raz za razem. Nie spuścił oczu. Violette Morris cisnęła mu w twarz kielich od szampana. – Proszę pana, szeptał mag Ivanoff, czy zechce mi pan pokazać swoją lewą rękę? Można umrzeć za swoje ideały. Porucznik powtarzał bez przerwy: „Jesteśmy wszyscy gotowi na śmierć za nasze ideały. Pan także, Lamballe?”. Nie śmiałem mu wyznać, że ja, jeśli musiałbym umierać, stałoby się to z powodu choroby, strachu albo ze zmartwienia. – Łap!, wrzasnął Zieff, i butelką koniaku trafił go w sam środek czoła. – Pańską rękę, pańską lewą rękę, błagał mag Ivanoff. – Będzie mówił, wzdychała Frau Sultana, będzie mówił, ręczę wam za to, i obnażała swoje ramiona z uwodzicielskim uśmiechem. – Wszystkie krew..., bełkotała baronowa Lydia Stahl. Czoło opadło mu znów na dywan z Savonnerie. Danos podniósł go i wywlekł z salonu. Kilka minut później Breton oznajmił obojętnym głosem: „Umarł, umarł, nie powiedziawszy ani słowa”. Frau Sultana odwróciła się, wzruszając ramionami. Ivanoff marzył, błędząc spojrzeniem po suficie. – Zdarzają się mimo wszystko butni faceci, zauważył Pols de Helder. – Uparci faceci, chcesz powiedzieć, sprostował „hrabia” Baruzzi. – Wzbudza we mnie prawie

podziw, oznajmił Monsieur Philibert. To pierwszy, co tak dobrze stawiał opór. Khédive: „Tego typu chłopcy, Pierre, SABOTUJĄ naszą pracę”. Północ. Opanował ich rodzaj niemocy. Porozsiadali się na sofach, pufach, berżerkach. Simone Bouquereau poprawiała makijaż przed wielkim lustrem weneckim. Ivanoff z powagą studiował lewą rękę baronowej Lydii Stahl. Tamci porozchodzili się na błahe rozmowy. W tym samym czasie Khédive zaciągnął mnie we framugę okna, żeby porozmawiać o godności „prefekta policji”, jaką z pewnością mu przyznają. Marzył o tym zawsze. Jako dziecko w domu poprawczym w Eysses. Potem w karnym batalionie afrykańskim i w więzieniu we Fresnes. Wskazując na portret pana de Bel-Respiro, wyliczał mi wszystkie medale, jakie można było zobaczyć na piersi tego człowieka. „Wystarczy zastąpić jego głowę moją. Znajdźcie mi zdolnego malarza. Poczawszy od dziś nazywam się Henri de Bel-Respiro”. Powtarzał zachwycony: „Pan prefekt policji Henri de Bel-Respiro”. Takie pragnienie czcigodności wstrząsnęło mną, bo zaobserwowałem już podobne u mego ojca Aleksandra Stavisky’ego. Przechowuję u siebie list, który napisał do mamy, zanim popełnił samobójstwo. „To, czego oczekuję od ciebie przede wszystkim, to wychowanie naszego syna w poczuciu godności i uczciwości; a gdy dojdzie do niewdzięcznego wieku piętnastu lat, pilnowania jego kontaktów z ludźmi, aby był dobrze wprowadzony w życie i żeby stał się przyzwoitym człowiekiem”. On sam, jak sądzę, chciał dokończyć swych dni w małym miasteczku na prowincji. Znaleźć spokój i ciszę, po latach zgiełku, szaleństw, złudzeń, gwałtownych wichrów. Mój biedny ojciec! „Zobaczy pan. Jak zostanę prefektem policji, wszystko się ułoży”. Tamci gwarzyli po cichu. Jeden z braci Chapochnikoff przyniósł tacę z oranżadą. Gdyby nie krwawa plama pośrodku salonu i ich pstrokate stroje, można by się czuć jak w doborowym towarzystwie. Monsieur Philibert uporządkował swoje fiszki i zasiadł do pianina. Chusteczką oczyścił z kurzu klawiaturę, otworzył partyturę. Grał adagio z *Sonaty księżycowej*. „Meloman, szepnął Khédive. Artysta do szpiku kości. Zastanawiam się, co on robi pośród nas. Taki wartościowy chłopiec. Słuchajcie!” Czułem, jak oczy powiększają mi się nienaturalnie, pod wpływem zmartwienia, które wysuszyło wszystkie łzy, zmęczenia tak wielkiego, że trzymało mnie w bezsenności. Wydawało mi się, że od dawna tak chodziłem w nocy w rytmie tej bolesnej i uporczywej muzyki. Cienie czepiały się klap

mojej marynarki, szarpały mnie z dwóch stron, wołały na mnie raz „Lamballe”, a raz „Swing Trubadur”, popychały od Passy do Sèvres-Lecourbe i od Sèvres-Lecourbe do Passy, chociaż nic z ich spraw nie rozumiałem. Świat bez wątpienia był pełen zgiełku i okrucieństwa. Bez znaczenia. Przechodziłem środkiem tego tumultu, sztywny jak lunatyk. Z oczami szeroko otwartymi. Wszystko się w końcu uspokoi. Powolna melodia, którą grał Philibert, przeniknie stopniowo ludzi i rzeczy. Tak, byłem tego pewny. Opuścili salon. Słowo Khédive’a na pocieszenie: „Niech się pan postara dostarczyć nam jak najszybciej Lamballe’a. Musimy go mieć”. Hałas ich samochodów oddalał się. Tak więc przed lustrem weneckim mówiłem dobitnie, skandując: JES-TEM KSIĘŻ-NICZ-KĄ LAM-BAL-LE. Patrzyłem prosto w swoje oczy, przyciskałem czoło do lustra: jestem Księżniczką Lamballe. Mordercy szukają was w ciemności. Macają po omacku, ocierają się o was, potykają o meble. Sekundy wydłużają się w nieskończoność. Wstrzymujecie oddech. Czy znajdą kontakt? Żeby się to wreszcie skończyło. Nie wytrzymam już dłużej tego zawrotu głowy, pójdę do Khédive’a, z szeroko otwartymi oczami, i przycisnę swoją twarz do jego: JES-TEM KSIĘŻ-NICZ-KĄ LAM-BAL-LE, szefem SRC. O ile porucznik Dominik nie wstanie nagle. Ciężkim głosem: „Jest wśród nas szpicel. Nazywany »Swing Trubadur«. – To JA, poruczniku”. Podniosłem głowę. Ćma latała, trzepocząc od jednego świecznika do drugiego, więc żeby uniknęła spalenia sobie skrzydeł, zgasilem światło. Nikt nie miałby nigdy tylu czułych względów dla mnie. Musiałem radzić sobie zupełnie sam. Mama była daleko stąd, w Lozannie. Mój biedny ojciec, Aleksander Stavisky, nie żyje. Lili Marlene zapomniała o mnie. Sam. Nie miałem nigdzie swojego miejsca. Ani na ulicy Boisrobert, ani na skwerze Cimarosa. Na zachodnim krańcu miasta zatajałem przed dzielnymi chłopcami z SRC swoją działalność szpicla; na krańcu wschodnim tytuł Księżniczki Lamballe narażał mnie na poważne kłopoty. Kim właściwie byłem? Moje papiery? Fałszywy paszport Nansena. Wszędzie źle widziany. Ta niepewna sytuacja nie dawała mi spać. Bez znaczenia. Oprócz mojej dodatkowej pracy „rekuperatora” cennych przedmiotów pełniłem w 3 bis funkcję nocnego stróża. Po odejściu Monsieur Philiberta, Khédive’a i ich gości mógłbym wycofać się do pokoju pana de Bel-Respiro, ale zostałem w salonie. Lampa z abażurem w kolorze malwy zostawiała wokół mnie wielkie obszary półcienia. Otworzyłem książkę: *Tajemnice*

kawalera z Eon. Po kilku minutach wypadła mi z rąk. Poraziła mnie pewność: nie wyjdę żywy z całej tej historii. Smutne akordy adagia rozbrzmiewały mi w głowie. Kwiaty w salonie gubiły swe płatki i starzałem się w przyspieszonym tempie. Ustawiając się po raz ostatni przed lustrem weneckim, ujrzałem tam twarz Philippe'a Pétaine'a. Zauważyłem u niego spojrzenie o wiele za bystre, skórę zbyt różową i przeistoczyłem się w końcu w króla Leara. Nic prostszego. Od dzieciennych lat zgromadziłem wielki zapas łez. Płkanie – jak się wydaje – pomaga, ale wbrew moim codziennym usiłowaniom nie zaznałem tego szczęścia. A więc łzy przeżerały mnie od wewnątrz jak kwas, co tłumaczy moje błyskawiczne starzenie się. Lekarz uprzedził mnie: W dwudziestym roku życia będzie pan już sobowtórem króla Leara. Wolałbym mieć wygląd bardziej dziarski. Czy to moja wina? Na początku miałem wspaniałe zdrowie, moralność z brązu, ale przydarzyły mi się wielkie kłopoty. Tak żywotne, że odebrały mi możliwość snu. Oczy, które musiałem mieć wciąż otwarte, powiększyły się niepomiarowo. Sięgają mi aż do szczęk. Inna sprawa: Wystarczy, bym spojrzął, dotknął jakiegoś przedmiotu, żeby ten rozsypał się w proch. W salonie kwiaty wędły. Kielichy szampana, porozrzucone w nieładzie na konsoli, biurku, kominku, przypominały o jakimś święcie dawno minionym. Może to była reduta wydana 20 czerwca 1896 przez pana de Bel-Respiro na cześć Camille du Gast, tancerki cake-walka. Zapomniana parasolka, niedopałki tureckich papierosów, szklanka z wypitą w połowie oranżadą. Czy to Monsieur Philibert grał dopiero co na pianinie? Czy też panna Mylo d'Arcille, zmarła oto przed sześćdziesięciu laty? Plama z krwi sprowadziła mnie na powrót do trosk bardziej współczesnych. Nie znałem imienia tego nieszczęśnika. Był podobny do Saint-Georges'a. W czasie kiedy go bito, zgubił wieczne pióro i chusteczkę oznaczoną inicjałami C.F.: jedyne ślady jego pobytu na ziemi...

Otworzyłem okno. Letnia noc tak błękitna, tak łagodna, że wydawała się bez jutra, i słowa „wyzionąć ducha”, „wydać ostatnie tchnienie” przyszły mi natychmiast na myśl. Świat umierał z wyniszczenia. Bardzo spokojna, bardzo powolna agonია. Łkały syreny, aby obwieścić bombardowanie. Później docierał do mnie tylko głuchy grzmot bębna. Trwało to dwie albo trzy godziny. Bomby fosforowe. O świecie Paryż będzie zasypany gruzami. Trudno. Wszystko, co w mym mieście kochałem, nie istniało już

od dawna: mała trasa obwodowa, balon z Ternes, willa pompejańska i chińskie łaźnie. W końcu będzie się uważało znikanie rzeczy za naturalne. Eskadry nie oszczędzały niczego. Ustawiałem w szeregu na biurku figurki do gry w madžonga, które były własnością syna domu. Trzęsły się ściany. Zapadały się z sekundy na sekundę. Ale nie powiedziałem swego ostatniego słowa. Z mojej starości i samotności rozkwitało coś jak bańka na końcu słomki. Czekałem. Nagle przybrało to kształt: rudego olbrzyma, z pewnością ślepego, gdyż nosił ciemne okulary. Małej dziewczynki o pomarszczonej twarzy. Nazywałem ich Coco Lacour i Esmeralda. Biedni. Ułomni. Zawsze milczący. Podmuchi, gest wystarczyłyby, aby ich zniszczyć. Co stałoby się z nimi beze mnie? Znalazłem wreszcie wspaniały cel życia. Kochałem ich, moje biedne monstra. Czuwałbym nad nimi... Nikt nie mógłby im zrobić nic złego. Za pieniądze, jakie zarabiałem na skwerze Cimarosa jako szpicel i rabuś, zapewniłbym im wszelki możliwy komfort. Coco Lacour. Esmeralda. Wybrałem te dwie najbardziej bezbronne na ziemi istoty, ale w mojej miłości nie było żadnego przeczulenia. Strzaskałbym szczękę każdemu, kto pozwoliłby sobie na najmniejszą przykrą uwagę pod ich adresem. Gdy tylko o tym pomyślałem, czułem, jak chwyta mnie mordercza pasja. Snopy czerwonych iskier paliły mi oczy. Dławiłem się. Nie będzie się ubliżać moim dwojgu dzieciom. Zmartwienia, jakie aż do tej chwili dusiłem w sobie, wylały się wodospadami i moja miłość czerpała z tego swoją siłę. Nikt nie stawiał oporu tej erozji. Miłość tak niszczycielska, że królowie, bogowie wojny, „wielcy ludzie” wydawali się w moich oczach chorymi dziećmi. Attyla, Bonaparte, Tamerlan, Czyngis-chan, Harun ar-Raszid, jeszcze inni, których bajeczne zasługi wychwalano przede mną. Ci rzekomi „tytani” wydawali mi się bardzo maleńcy, bardzo nędzni. Całkiem niewinni. Tak dalece, że kiedy pochylałem się nad twarzą Esmeraldy, pytałem siebie, czy to nie był Hitler, na którego właśnie patrzyłem. Zupełnie mała bezradna dziewczynka. Puszczala bańki mydlane z aparaciku, który jej dopiero co ofiarowałem. Coco Lacour palił swoje cygaro. Odkąd ich znałem, nigdy nie powiedzieli ani słowa. Z pewnością głuchonimi. Esmeralda obserwowała z rozdziawioną buzią, jak bańki rozpryskiwały się o świecznik. Uwagę Coco Lacoura pochłaniało tworzenie kółek z dymu. Skromne przyjemności. Kochałem ich, moich debilów. Dobrze się czułem w ich towarzystwie. Nie dlatego, żebym uważał te dwie

istoty za bardziej rozczulające, słabsze od większości ludzi. WSZYSCY budzili we mnie macierzyńską i pełną rozpaczki tklivość. Ale Coco Lacour i Esmeralda przynajmniej milczeli. Nie poruszali się. Cisza, bezruch, kiedy wytrzymało się już tyle wrzasków, tyle bezużytecznych gestów. Nie odczuwałem potrzeby, aby do nich mówić. Po co? Byli głusi. Tak było lepiej. Gdybym powierzył swoje zmartwienie komuś z podobnych do mnie, wyrzekłby się mnie natychmiast. Rozumiem go. Zresztą mój wygląd odstrasza „bratnie dusze”. Brodaty stuletni starzec, z oczami, które pożerają mu twarz. Kto mógłby pocieszyć króla Leara? Bez znaczenia. To, co się liczyło: Coco Lacour i Esmeralda. Prowadziliśmy rodzinne życie na skwerze Cimarosa. Zapominałem o Khédivie i poruczniku. Bandyci czy bohaterowie, znudzili mi się ci mali naiwniacy. Nie zdołałem nigdy zainteresować się ich sprawami. Snułem projekty na przyszłość. Esmeralda chodziłaby na kursy gry na fortepianie, Coco Lacour grałaby ze mną w madżonga i uczyłaby się tańczyć swinga. Chciałem ich rozpieszczać, moich głuchoniemych. Dać im doskonałe wychowanie. Nie przestawałem na nich patrzeć. Moja miłość była podobna do tej, jaką odczuwałem do mamy. Tak czy owak mama była w bezpiecznym miejscu: LOZANNA. Jeśli idzie o Coco Lacoura i Esmeraldę, opiekowałem się nimi. Mieszkaliśmy w spokojnym domu. Należał do mnie zawsze. Moje papiery? Nazywałem się Maxime de Bel-Respiro. Przede mną portret mojego ojca. A potem: *Wspomnienia*

w głębi każdej szuflady

zapachy

w szafach...

Naprawdę nie mieliśmy się czego obawiać. Zgiełk, okrucieństwo świata umarły przed schodami 3 bis. Mijały godziny, w ciszy. Coco Lacour i Esmeralda układali się do snu. Zasypiali bardzo szybko. Ze wszystkich baniek, jakie wydmuchała Esmeralda, jedna błąkała się jeszcze w powietrzu. Wzbiła się aż pod sufit, niepewna. Wstrzymałem oddech. Roztrzaskała się o żyrandol. A więc wszystko skończyło się na dobre. Coco Lacour i Esmeralda nigdy nie istnieli. Zostałem w salonie sam, aby

słuchać gradu bomb fosforowych. Ostatnia tkliwa myśl o bulwarach nad Sekwaną, dworcu d'Orsay i małej obwodnicy. A potem odnalazłem się u kresu starości w rejonie Syberii, który się nazywa Kamczatka. Nie ma tam żadnej roślinności. Klimat mroźny i suchy. Noce tak głębokie, że aż białe. Nie można żyć w takim klimacie i biologowie zauważyli, że ciało ludzkie rozpada się tam na tysiąc wybuchów śmiechu, ostrych, tnących jak skorupy butelki. Oto dlaczego pośród tego polarnego spustoszenia czujecie się wyswobodzeni z ostatnich więzów, jakie zatrzymywały was jeszcze na świecie. Pozostaje wam tylko umrzeć. Ze śmiechu. Godzina piąta rano. A może zmierzch. Warstwa popiołu pokrywała meble w salonie. Patrzyłem na kiosk na skwerze i pomnik Toussaint Louverture'a. Wydawało mi się, że mam przed oczami dagerotyp. Potem zwiedzałem dom, piętro po piętrze. Rozrzucone po pokojach walizy. Nie było czasu, aby je zamknąć. W jednej z nich znajdowały się kapelusz z Kronstadtu, garnitur z popielatego szewiotu, poźółkły program przedstawienia w teatrze Ventadour, zadedykowana fotografia łyżwiarzy Goodricha i Curtisa, dwa albumy pamiątkowe, kilka starych zabawek. Nie śmiałem grzebać w innych. Mnożyły się wokół mnie: z żelaza, z wikliny, ze szkła, z juchtowej skóry. Liczne walizo-szafy piętrzyły się stłoczone wzdłuż korytarza. 3 bis stało się gigantyczną przechowalnią bagażu. Zapomnianą. Te bagaże nikogo nie interesowały. Było w nich wiele umarłych rzeczy: dwie albo trzy przechadzki z Lili Marlene koło Batignolles, kalejdoskop, który otrzymałem w prezencie na swoje siódme urodziny, filiżanka werweny, jaką mama podała mi wieczorem, nie wiem już którego roku. Wszystkie drobne zdarzenia życia. Chciałbym sporządzić ich szczegółową i dokładną listę. Po co?

*Tak szybko płynie czas
i lata uciekają...
pewnego dnia...*

Nazywałem się Marcel Petiot. Sam pośród tych wszystkich bagaży. Nie warto czekać. Pociąg nie nadejdzie. Byłem chłopcem bez przyszłości. Co zrobiłem ze swoją młodością? Dni płynęły jedne za drugimi i układałem je w stos w najgorszym

bałaganie. Czym naładować prawie pięćdziesiąt walizek? Wydzielały kwaśno-słodki zapach, który przyprawiał mnie o mdłości. Zostawię je tutaj. Spleśnieją na miejscu. Jak najszybciej opuścić ten prywatny hotel. Pękają już ściany i autoportret pana de Bel-Respiro rozsypuje się w proch. Gorliwe pająki przędą swoje sieci dokoła żyrandoli, dym wydostaje się z piwnicy. Z pewnością palą się tam jakieś szczątki ludzkie. Kim jestem? Petiot? Landru? Zielona para wsiąka w walizo-szafy na korytarzu. Wyjechać. Siądę za kierownicą bentleya, którego zaparkowałem wczoraj wieczorem przed schodami. Ostatnie spojrzenie na fasadę 3 bis. Jeden z tych domów, gdzie marzy się człowiekowi wypoczynek. Niestety, wprowadziłem się tu przez włamanie. Nie miałem tu swego miejsca. Bez znaczenia. Przekręcam gałkę radia.

Biedny Swingu Trubadurze...

Aleja Malakoffa. Motor idzie bezszelestnie. Płynę po nieruchomym morzu. Szeleszczą liście. Po raz pierwszy w życiu znajduję się w stanie zupełnej nieważkości.

Twoje przeznaczenie, Swingu Trubadurze...

Zatrzymuję się na rogu placu Victora Hugo i ulicy Copernica. Z wewnętrznej kieszeni wydaję pistolet z rękojeścią z kości słoniowej wysadzanej szmaragdami, który znalazłem w nocnym stoliku pani de Bel-Respiro.

... Nie będzie już wiosny, Swingu Trubadurze...

Kładę broń na siedzeniu obok. Czekam. Kawiarnie na placu są zamknięte. Ani jednego przechodnia. Zwinny 11CV w czarnym kolorze, potem dwa, potem trzy, potem cztery nadjeżdżają aleją Victora Hugo. Serce skacze mi do gardła. Podjeżdżają do mnie, zwalniają. Pierwszy zatrzymuje się obok bentleya. Khédive. Jego twarz jest o kilka centymetrów od mojej, za szybą. Wpatruje się we mnie, ze słodyczą w oczach.

Mam wrażenie wtedy, że usta wykrzywia mi okropny grymas. Zawrót głowy. Wymawiam bardzo wyraźnie, w taki sposób, żeby mógł czytać z moich warg: JES-TEM KSIĘŻ-NICZ-KĄ LAM-BAL-LE, JES-TEM KSIĘŻ-NICZ-KĄ LAM-BAL-LE. Chwytam pistolet, opuszczam szybę. Przypatruje mi się uważnie, uśmiechając się, jak gdyby od dawna zrozumiął. Naciskam spust. Zraniłem go w lewe ramię. Teraz utrzymują za mną odległość, ale wiem, że im nie umknę. Cztery wozy jadą na czele. W jednym z nich znajdują się podręczni agenci ze skweru Cimarosa: Breton, Roecreux, Codébo, Robert le Pâle, Danos, Gouari... Vital-Léca prowadzi 11CV Khédive'a. Miałem czas zobaczyć na tylnym siedzeniu Lionela Zieffa, Helderera i Rosenheima. Zawracam aleją Malakoffa w kierunku Trocadéro. Z ulicy Lauriston spływa niebieskopopielaty talbot: Philiberta. Później delahaye labourdette ekskomendanta Constantinięgo. Są wszyscy na miejscu schadzki. Polowanie z chartami rozpoczyna się. Jadę bardzo powoli. Przestrzegają mojej szybkości. Można by pomyśleć: orszak pogrzebowy. Nie robię sobie żadnych złudzeń: podwójni szpiedzy umierają prędzej czy później, po odwleczeniu terminu dzięki tysiącom zabiegów, szamotań, przebiegłości, kłamstw i akrobatycznych wyczynów. Zmęczenie przychodzi *bardzo szybko*. Pozostaje tylko położyć się na ziemi, bez tchu, i czekać na wyrównanie rachunków. Nie można wymknąć się ludziom. Aleja Henri-Martina, bulwar Lannes. Prowadzę na los szczęścia. Tamci jadą w odległości około pięćdziesięciu metrów za mną. Jakich środków użyją, żeby mnie wykończyć? Breton weźmie mnie na prąd. Uważają mnie za ważny łup: Księżniczka Lamballe, szef SRC. Zresztą dopiero co dokonałem zamachu na Khédive'a. Mój sposób postępowania powinien im się wydawać bardzo dziwny: czyż nie wydałem wszystkich Rycerzy Ciemności? Będę się musiał z tego tłumaczyć. Czy starczy mi na to siły? Bulwar Pereire. Kto wie? Jakiś maniak zainteresuje się może tą historią za kilka lat. Zastanowi się nad „burzliwym okresem”, jaki przeżyliśmy, zajrzy do starych gazet. Będzie miał wiele kłopotu z określeniem mojej osobowości. Jaką odgrywałem rolę na skwerze Cimarosa, w łonie jednej z najstraszliwszych band francuskiego gestapo? A na ulicy Boisrobert wśród patriotów SRC? Sam tego nie wiem. Aleja Wagram. *Miasto jest jak ogromna karuzela*

*jej każdy obrót
postarza nas trochę...*

Oglądałem Paryż po raz ostatni. Każda ulica, każde skrzyżowanie przywoływały wspomnienia. Graff, gdzie spotkałem Lili Marlene. Hotel Claridge, w którym mieszkał mój ojciec przed swą ucieczką do Chamonix. Bal Mabilie, dokąd chodziłem tańczyć z Rositą Sergent. Tamci pozwalali mi kontynuować moją okrężną podróż morską. Kiedy zdecydują się mnie wykończyć? Ich samochody były wciąż jakieś pięćdziesiąt metrów za mną. Wjeżdżamy na wielkie bulwary. Letni wieczór, jakiego dotąd nigdy nie znałem. Z na wpół otwartych okien płyną dźwięki muzyki. Ludzie siedzą na tarasach kawiarni lub przechadzają się w grupach, niedbale. Uliczne latarnie drgają, zapalają się. Tysiąc lampionów błyszczy pośród liści drzew. Wybuchy śmiechu rozlegają się ze wszystkich stron. Konfetti i walce przy dźwiękach kobzy. Fajerwerki rozpryskują się w snopy promieni różowych i błękitnych. Mam wrażenie, że przeżywałem te chwile w przeszłości. Jedziemy wzdłuż nadbrzeży Sekwany. Na lewym brzegu rzeki apartament, gdzie mieszkałem z matką. Okiennice zamknięte.

*Wyjechała
zmieniając adres...*

Przecinamy plac Châtelet. Widzę znów porucznika i Saint-Georges'a zabitych na rogu alei Victoria. Spotka mnie ten sam los przed końcem nocy. Na każdego przychodzi kolej. Po drugiej stronie Sekwany ponura bryła: dworzec Austerlitz. Pociągi nie chodzą już od dawna. Bulwar Rapée. Bulwar Bercy. Zapuszczamy się w dzielnice zupełnie puste. Dlaczego nie korzystają z tego? Te wszystkie składy pasują – wydaje mi się – do okoliczności zamknięcia rachunków. Jest tak jasne światło księżyca, że decydujemy się, za wspólną zgodą, jechać przy zgaszonych reflektorach. Charenton-le-Pont. Opuściliśmy Paryż. Wylewam kilka łez. Kochałem to miasto. Moją ziemię. Moje piekło. Moją starą kochankę przesadnie uszmkowaną. Champigny-sur-Marne. Kiedy się wreszcie zdecydują? Chcę już z tym skończyć. Twarze tych, których

kochałem, przesuwają się po raz ostatni. Pernety: co się stało z jego fajką i butami z czarnej skóry? Corvisart: wzruszał mnie, ten wielki głupek. Jasmin: pewnego wieczoru przechodziliśmy przez plac Adolfa Cherioux i wskazał na gwiazdę na niebie: „To Betelgeuse”. Pożyczył mi biografię Henriego de Bournazel. Przeglądając ją, znalazłem tam jego starą fotografię w marynarskim ubraniu. Obligado: zawsze smutne oczy. Czytał mi często fragmenty swego dziennika politycznego. Te kartki gniją teraz na dnie szuflady. Picpus: jego narzeczona? Saint-Georges, Marbeuf i Pelleport. Szczere uściski dłoni i spojrzenia pełne uczciwości. Przechadzki do Vaugirard. Nasze pierwsze spotkanie u stóp posągu Joanny d’Arc. Władczy głos porucznika. Przecieliśmy właśnie Villeneuve-le-Roi. Zjawiają się inne twarze: mój ojciec, Aleksander Stavisky. Wstydziłby się mnie. Chciał, żebym zaliczył Saint-Cyr. Mama. Jest teraz w Lozannie i mogę się do niej przyłączyć. Kopnięcie pedału gazu. Pozbywam się moich morderców. Mam kieszenie pełne banknotów. Jest czym zamknąć usta najbardziej czujnym celnikom szwajcarskim. Ale jestem za bardzo wyczerpany. Marzę o wypoczynku. Prawdziwym. Lozanna by mi nie wystarczyła. Decydują się? Widzę w lusterku, jak 11CV Khédive’a zbliża się, zbliża. Nie. Hamuje gwałtownie. Bawią się w kotka i myszkę. Dla zabicia czasu słuchałem radia.

*Jestem sam
dziś wieczór
z moim zmartwieniem...*

Coco Lacour i Esmeralda nie istnieli. Puściłem kantem Lili Marlene. Zdradziłem dzielnych chłopców z SRC. Tak wiele ludzi traci się po drodze. Trzeba było zatrzymać wszystkie te twarze, nie zapominać o spotkaniach, być wiernym swoim przyrzeczeniom. Niemożliwe. Odchodziłem po krótkiej chwili. Przestępstwo ucieczki z miejsca wypadku. W tej grze kończy się, gubiąc siebie samego. I tak nie wiedziałem nigdy, kim jestem. Mojemu biografowi pozwalałem nazywać się po prostu „człowiekiem” i życzę mu odwagi. Nie mogłem wydłużyć mego kroku, mego oddechu i moich zdań. On nic nie zrozumie z tej historii. Ja też nie. Jesteśmy kwita.

Haÿ-les-Roses. Przejechaliśmy inne miejscowości. Od czasu do czasu 11CV Khédive'a wyprzedzał mnie. Eks-komendant Constantini i Philibert jechali po obu moich bokach na przestrzeni jednego kilometra. Myślałem, że nadeszła moja godzina. Jeszcze nie. Pozwalali mi posuwać się naprzód. Głowa opada mi na kierownicę. Droga jest wysadzana topolami. Wystarczyłby jeden niezręczny ruch. Prowadzę dalej w pólśnie.

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Rozdział](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału
La ronde de nuit
© Éditions Gallimard, 1974

Projekt okładki
Oksana Shmygol

Fotografia na okładce
© Condé Nast Archive / Corbis, Everest Collection / East News

Opieka redakcyjna
Anna Rucińska-Barnaś

Copyright © for the Polisach translation by Alicja Ewa Bekier
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2014

ISBN 978-83-240-3291-4

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków,
ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2014

Plik opracował i przygotował Woblink

